… „Z podziemia”, „Feniks”, „Nadodrze”, „BIS”, „KOS” …

Szczecińskie czasopisma niezależne 1981-1989

Ballada o Marku Adamkiewiczu

Był generał ambitny co chciał być jak król
Był rzecznik prasowy co dupę wciąż truł
Był poligon zielony jak żabi skrzek
Tam jesteś spalony a dzień trwa jak wiek

Przyjechał tam Marek ściął brodę i wąs
Spoglądał wokoło a każdy się trząsł
Ten strachu nie wstydził się, płacze jak kot
Ten nieszczerze szydzi, gdy mówią w tył zwrot

Właściwie zaczęli się już przyzwyczajać
Przywyknąć jest łatwo do roli lokaja
Żołnierskie im pieśni właziły do ust
Już w głowie im chrzęści gdy ciągną za spust

Popatrzcie już stoją tam w równym szeregu
Przez miesiąc strzyżeni do tego zabiegu
A Marka tu nie ma, czy trafił go szlak
On nie chce przysięgać, czy komuś go brak

Wywieźli go dalej zrobili go szwejem
Trepostwo dziwiło się co tu się dzieje
Dlaczego ten student już bez epoletów
Choć taki spokojny to jednak na przekór

Lecz mało im było generał i rzecznik
Zwołali watachę służących poplecznych
Kazali go wsadzić i siedzi w więzieniu
W konserwie wojskowej jak w twoim więzieniu
sumieniu
Pytają się ludzie czy gest to jest pusty
Czy ma szansę chudy wśród wielkich i tłustych
Każdy dzisiaj pyta dlaczego nie ja
Zelówki trzaskają i orkiestra gra
/anonim/

Pismo Ruchu Wolność i Pokój, nr 4, zima 1989

Homo Militarist

Biedne zwierzęta w klatkach musztry
/dwa i pół kroku i w tył zwrot/
Logiczne jak pocztowy kod
Zdrowe jak krwawy rumsztyk.
Poupychały myśli w szuflady
/tu ćwierć tu całość tu połowę/

Sny mają rrregulaminowe
A w mundur wpięte święte zasady
I może dobrze chcą. Szlachetnie
Być może prawa ich natura
Cóż kiedy widzą świat przez pętlę
Generalskiego sznura

Joanna Kulmowa

„Ad Vocem". Pismo Ruchu Wolność i Pokój, nr 2(9), sierpień 1989 r.

… „Z podziemia", „Feniks", „Nadodrze", „BIS", „KOS" … Szczecińskie czasopisma niezależne (1981-1989).
Wydano staraniem: Instytutu Pamięci Narodowej, Stowarzyszenia Wolnego Słowa, Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Pomorze Zachodnie. Szczecin, maj 2012.
Redaktorzy wydania: Artur Kubaj, Michał Paziewski, Paulina Łątka, Tomasz Zieliński, Piotr Mync.
Współpraca: Grzegorz Czapski, Arkadiusz Krawcewicz, Bartosz Sitarz.
Winiety podziemnych czasopism, okładki książek, zdjęcia oraz inne ilustracje pochodzą ze zbioru Michała Paziewskiego.
ISBN 978-83-927335-3-0

SZCZECIŃSKIE CZASOPISMA NIEZALEŻNE (1981 – 1989)

Najważniejszą bronią polskiej opozycji demokratycznej w konfrontacji z systemem politycznym PRL był prawdziwie społeczny ruch wydawniczy spoza zasięgu cenzury. Szczególnie po 13 grudnia 1981 roku to nie strajki w Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego i kilku innych zakładach pracy czy manifestacje uliczne z maja i sierpnia 1982 roku, lecz spontanicznie i oddolnie powstające wydawnictwa niezależne przełamywały bezradność i apatię społeczną spowodowaną następstwami rygorów stanu wojennego. Mimo internowania większości związkowych dziennikarzy i drukarzy oraz zagarnięcia sprzętu poligraficznego, dotkliwych represji i zastraszania, wyrzucania z pracy i studiów, przymuszania do emigracji, kilkuletnich wyroków więzienia, to one w istocie stanowiły rozpoznawalny znak żywotności i mobilności „drugiej >Solidarności<". Wprawdzie mnożenie kontaktów zwiększało ryzyko „namierzenia" przez Służbę Bezpieczeństwa to jednak właśnie pozacenzuralne gazetki, ulotki, oraz książki, najpierw słabo czytelne, później wydawane również nader profesjonalnie, przywracały więzi między ludźmi, które „noc generała" nierzadko pozrywała. Wtedy to zdecydowana większość ludzi o poglądach i postawach opozycyjnych sukcesywnie zaczęło być mobilizowanych, a następnie integrowanych przez drugi obieg wydawniczy. Początkowo były ich tylko tysiące spośród tych, którzy wcześniej spotkali się w blisko 10-milionowym ruchu społecznym w okresie 16 miesięcy „pierwszej >Solidarności<". Niemniej w ogromnym stopniu wskutek kilkuletniego oddziaływania wolnego słowa na milionowe rzesze czytelników – oczywiście zwielokrotnionego jeszcze dzięki masowo słuchanym Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa czy BBC (gdzie często przywoływano i czytano solidarnościowe teksty) - walnie przyczyniono się do zwycięstwa wyborczego z 4 czerwca 1989 roku.

Wręcz niemożliwe byłoby istnienie solidarnościowego podziemia lat osiemdziesiątych bez tych najpierw tylko przekazywanych z rąk do rąk, rozkładanych w tramwajach i autobusach, robotniczych stołówkach i szatniach – w pierwszych miesiącach jednokartkowych, a później o objętości broszury - gazetek informacyjnych, tak naprawdę „ulotek z winietą". To przede wszystkim ekspansja niezależnych i pluralistycznych enklaw wolnej prasy szybko okazała się również najlepszym sposobem na działalność sprzyjającą konspiracyjnym strukturom. W zasadzie one nie mogły istnieć bez podziemnej gazetki, bez jej rozpowszechniania, co w istocie organizowało aktywność konspiracji, a później niezależną kulturę, oświatę, opinię publiczną. Już tylko same kanały kolportażu „frontowych gazetek" pełniły bardzo ważną rolę, nie tylko informacyjną i podtrzymującą na duchu, albo też pomagającą zbierać środki na potrzeby podziemia, znaczna część ludzi traktowała bowiem te druki, tak samo jak kartki świąteczne, kalendarze, znaczki czy nawet imitacje banknotów – mimo usilnych starań „organów władz", aby odgrodzić opozycję od reszty społeczeństwa - nawet jako swego rodzaju „cegiełkę" na „Solidarność". Początkowo wpływ pozacenzuralnych druków ograniczony był do kręgów rodzinnych i sprawdzonych przyjaciół. Wkrótce rozszerzył się on na środowiska zakładów pracy, później na jeszcze szersze otoczenie społeczne, jak również na demokratyczne państwa Zachodu, skąd nadchodziło znaczne wsparcie dla podziemnej „Solidarności", przede wszystkim w sprzęcie drukarskim, ale którego opinia publiczna i politycy stale też wywierali różnorodną presję na komunistyczne władze.

W tym pospolitym ruszeniu, którym była „wojna polsko-jaruzelska", ponownie spotkali się ludzie bardzo różni, pochodzący niekiedy ze zdawałoby się „dziwnych" środowisk. Coraz mniej zaczęły znaczyć formalne związkowe mandaty z okresu legalnej działalności, a zaczęło się liczyć zaufanie, więzi które nierzadko opierały się na przyjaźniach. Nielegalne czasopisma spoza zasięgu cenzury, broszury i książki redagowali, teksty im przekazywali, drukowali i zakazane idee rozpowszechniali przedstawiciele chyba wszystkich grup społecznych i zawodowych. Byli wśród nich nie tylko robotnicy, inteligencja czy studenci, ale także działacze Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej np. Edward Wiśniewski, sędziowie np. Wojciech Soiński, księża np. ks. Waldemar Szczurowski czy poetki Joanna Kulmowa i Helena Raszka. Dla dziennikarzy usuniętych z życia oficjalnego, wyrugowanych z zawodu przez stanowojenne sądy kapturowe, zwane oględnie Komisjami Weryfikacyjnymi, były one również wyborem wolnego dziennikarstwa: dla Władysława Daniszewskiego, Aliny Głowackiej i Moniki Szwai z Telewizji czy Radia; Danuty Kaczanowskiej z „Głosu Szczecińskiego"; Mieczysława Kaczanowskiego z „Wiadomości Zachodnich"; Kazimierza Jordana i Anny Więckowskiej-Machay z „Kuriera Szczecińskiego". Dla wielu osób okazała się to jeszcze okazja do zdobywania ostróg zawodowych w tym fachu. Nonkonformistycznego pisania, lakonicznego i

wprost, właśnie w „naszej prasie" uczyli się między innymi Adam Zadworny, Zbigniew Jasina, Stefan Konstanty Kozłowski, Agnieszka Kuchcińska-Kurcz, Andrzej Kotula, Janusz Wilczyński, Roman Ciepliński, Mirosław Witkowski, Renata Mazurowska, Tomasz Duklanowski.

Spośród blisko stu czasopism, ukazujących się w aglomeracji szczecińskiej (w latach 1976–1989 ponad 5 tysięcy w całym kraju) poza służącym głównie celom komunistycznej propagandy państwowym monopolem wydawniczym, w okresie między brutalnym narzuceniem stanu wojennego a odzyskaniem niepodległości nie sposób nie wymienić (według kolejności powstawania) następujących tytułów:

DO UŻYTKU WEWNĄTRZORGANIZACYJNEGO

„JEDNOŚĆ"

Organ Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego przy Stoczn. im. Adolfa Warskiego

Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność"

Rok IINr 52 Szczecin 14 grudnia 1981 r.

ODEZWA

Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" regionu Pomorza Zachodniego do wszystkich zakładów pracy w regionie.

- „Jedność" (winieta jest odwzorowaniem edycji z Sierpnia `80), pierwsze zachodniopomorskie pismo stanowojenne, stanowiące kontynuację „przedwojennego" tygodnika (nr 51 i 52). Drukowane 14 grudnia 1981 roku podczas strajku okupacyjnego w Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, a zredagowane przez dziennikarzy tygodnika, których nie zdołano internować: Tadeusz Dziechciowski, Tomasz Zieliński, Marek i Krystyna Mikołajczakowie.

Solidarność

- „KOS", pismo początkowo opatrywane również tytułem „Solidarność: wiadomości, opinie, komentarze". Jego skrótowy podtytuł Komitet Oporu Społecznego lub Komitet Obrony „Solidarności" był powszechnie używany i wkrótce przyjęty jako jego nazwa. Z końcem grudnia 1981 roku najpierw wydawane w formie ręcznie przepisywanych odezw, a od połowy stycznia 1982 drukowane i redagowane najpierw przez studentów różnych szczecińskich uczelni, głównie przez Teresę Hulboj, oraz między innymi Adama Jeżewskiego, Antoniego Rodziewicza, Jarosława Jasińskiego, Marcina i Tomasza Wyrzykowskich, Marka Adamkiewicza, Pawła Bartnika, Jacka Bursę, Tadeusza Fediwa, Danutę i Stanisława Dąbrowskich, Zofię Halicz, Pawła Fijałkowskiego, Kazimierza Jordana, Jerzego Krzyżowskiego i Wiesława Piotra Zalewskiego. Po uwięzieniu Teresy Hulboj, do połowy marca 1985 roku (nr 69) tworzone (jako tzw. „mały KOS") między innymi przez Zbigniewa Kowalewskiego, Mieczysława i Barbarę Przybylskich, Hannę Augustyniak, Piotra Mynca i Kazimierza Jordana.

Tylko pod tym krzyżem,
Tylko pod tym znakiem
Polska jest Polską,
A Polak polakiem.

A. Mickiewicz

† JEDNOŚĆ

Nr 58, 2.04.1982

- „Jedność" (tzw. z krzyżykiem), od połowy stycznia 1982 roku Marian i Krzysztof Korczakowie, Ryszard Piłat, Piotr i Lucyna Modrzejewscy, Mirosław Gudowski, Stanisław Janusz i Winicjusz Gurecki od numeru 1/53 rozpoczęli wydawanie tytułu, pod którego winietą zaznaczano: Tajne Kolegium „Solidarności" Pomorza Zachodniego. Pod koniec 1985 roku pismo (już bez krzyżyka) przekazane środowisku skupionemu wokół Mariana Jurczyka, do lutego 1988 roku (nr 2/143) redagowała głównie Alina Głowacka, natomiast następne trzy edycje w maju 1989 roku zredagował przedgrudniowy dziennikarz „Jedności" Krzysztof Sałaciński (nr 146).

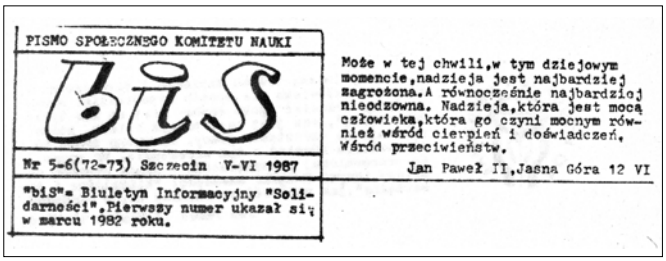
PISMO SPOŁECZNEGO KOMITETU NAUKI

BiS

Nr 5-6(72-73) Szczecin V-VI 1987

"biS"- Biuletyn Informacyjny "Solidarność".Pierwszy numer ukazał się w marcu 1982 roku.

Może w tej chwili,w tym dziejowym momencie,nadzieja jest najbardziej zagrożona.A równocześnie najbardziej nieodzowna. Nadzieja,która jest mocą człowieka,która go czyni mocnym również wśród cierpień i doświadczeń. Wśród przeciwieństw.

Jan Paweł II,Jasna Góra 12 VI

- „BIS", pismo początkowo tytułowane „Biuletyn Informacyjny" lub „Biuletyn Informacyjny Solidarność" (stąd skrótowa nazwa), związane głównie ze środowiskiem Politechniki Szczecińskiej. Ukazujące się od końca stycznia 1982 roku, najpierw było redagowane przez Janusza Szabana (internowany od sierpnia do późnej jesieni), później głównie przez Danutę Kaczanowską, Marka Tałasiewicza, Kazimierza Jordana, Jacka Sauka i Leszka Duklanowskiego. Od numeru 60 nad winietą widniało: „Pismo Społecznego Komitetu Nauki". Periodyk wydawany do kwietnia 1989 roku (nr 94-95), najdłużej na Pomorzu Zachodnim.

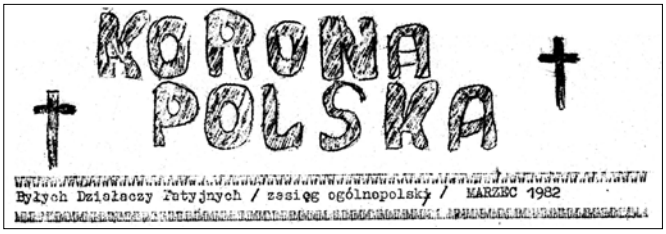
† KORONA POLSKA †

Byłych Działaczy Patryjnych / zesięg ogólnopolski / MARZEC 1982

- „Korona Polska", od lutego do kwietnia 1982 roku pismo środowiskowo związane ze Stocznią Szczecińska im. A. Warskiego (nie numerowane, choć zaznaczano miesiąc wydania) redagowali i drukowali między innymi Eugeniusz i Dariusz Hillibrandowie oraz Wiesław Wójcik.

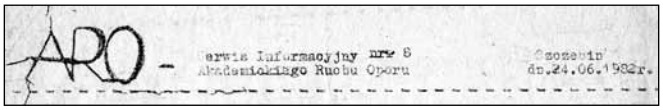

- „ARO" (skrót: Akademicki Ruch Oporu), pismo noszące podtytuł Serwis Informacyjny, wydawane od przerwy międzysemestralnej z lutego 1982 do końca tego roku (kilkanaście numerów), początkowo tworzyli działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów z Akademii Rolniczej, Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Pomorskiej Akademii Medycznej, przy współpracy studentów Politechniki Szczecińskiej. Byli to między innymi Wojciech Tadajewski, Robert Górski, Małgorzata Narożna, Leszek Smykowski, Marek Adamkiewicz, Czesław Wesołowski, Mariusz Wróblewski, Małgorzata Krogulska, Janusz Biernat, Piotr Kubiczek, Jarosław Maćkowski, Anna Truskolaska, Barbara i Krzysztof Krawczykowie.

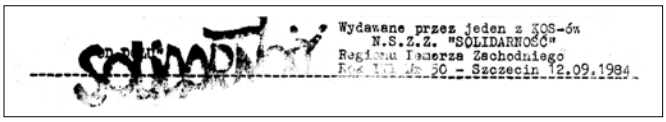

- „Od dołu", miesięcznik informacyjno-publicystyczny blisko związany z Regionalnym Komitetem Strajkowym NSZZ „Solidarność" Pomorza Zachodniego, ukazujący się od lutego 1982 do listopada 1986 roku (nr 67), redagowany oraz drukowany głównie przez Leokadię i Jerzego Stanisława Kernerów razem z Juliuszem Prandeckim.

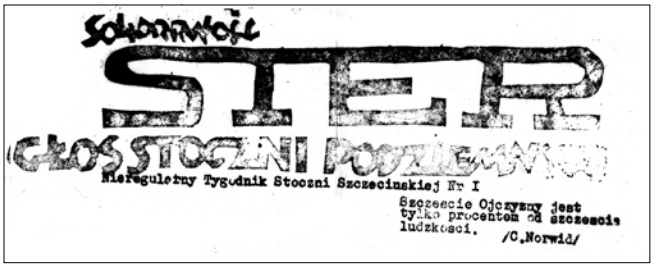

- „Ster. Głos Stoczni Podziemnych", wiosną i latem 1982 roku (nr 5) nie datowane pismo związane z Tajną Komisją Zakładową NSZZ „Solidarność" Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, do aresztowania wydawali Marcin i Tomasz Wyrzykowscy przy pomocy między innymi Marii Masacz, Zdzisława Polla, Edwarda Solarewicza, Wiesławy Staniszewskiej, Ryszarda Wolskiego i Józefa Wasilewskiego.

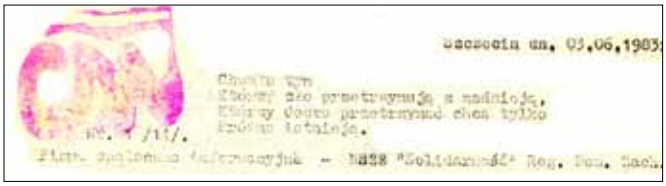

- „CDN", od marca 1982 roku wydawany w Zarządzie Portu Szczecin-Świnoujście, a początkowo tytułowany „Komunikat", tworzony zaś częściowo z osób, które również wcześniej redagowały to pismo: Zygmunt Dziechciowski, Tadeusz Olczak, Barbara Wachowiak, Adam Knypiński Od numeru 14 z czerwca 1983 do kwietnia 1989 roku ukazywało się już jako „CDN". Przekształcone w „Pismo społeczno-informacyjne NSZZ >Solidarność< Regionu Pomorza Zachodniego", redagowała głównie Jadwiga Marszczek oraz Andrzej Ziemiński, Tadeusz Olczak i Edward Radziewicz.

- „Z podziemia", organ Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność" Regionu Pomorza Zachodniego publikowany od połowy kwietnia 1982 do kwietnia 1985 roku (nr 44). Dwutygodnik tworzyli Danuta i Juliusz Prandeccy oraz Dominik Górski, a ściśle z nimi współpracowali Agnieszka i Jakub Dąbrowscy, oraz między innymi Stanisław Kozłowski, Adam Olearski, Andrzej Wojtczuk, Leonard Baliński, Antoni Alejski, Grzegorz Durski, Stanisław Zabłocki.

- „Feniks", pismo noszące podtytuł: Nieregularny Tygodnik Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność", powielane się od kwietnia 1982 do końca listopada 1982 roku (nr 21). Tworzyli je Piotr Mync, Sławomir Lener, Jadwiga Helena Boral, Ryszard Wyżga, Bożena Gielarowska, Henryk Sroka, Zdzisław Konury, a drukiem zajmowali się głównie Janina i Henryk Szorcowie.

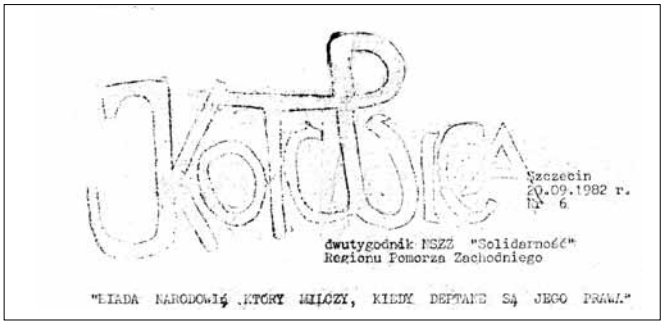

- „Kotwica", dwutygodnik NSZZ „Solidarność" „jednego z KOS-ów na terenie Pomorza Zachodniego".

Między kwietniem a październikiem 1982 roku jego 7 numerów zredagowali i powielili Zbigniew Jasina, Mariusz Kierasiński, Adam Perkowski, Katarzyna Rutecka, Jacek Pawłowski i Dariusz Bednarz (po lipcowym aresztowaniu kolegów sam „zrobił" dwa ostatnie numery).

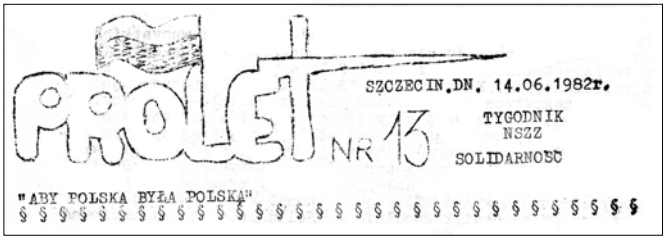

- „Prolet", od kwietnia do listopada 1982 roku opublikowano 21 numerów tygodnika (dla zmylenia SB wydawanego od numeru 3), poruszającego głównie problematykę pracowniczą, zredagowali, wydrukowali oraz częściowo zajęli się jego kolportażem Wiesław Szajko, Olgierd Wojciechowicz, Aleksander Czernow, Piotr Sosnowski, Romuald Lipiński, Sławomir Majewski oraz Sławomir i Jadwiga Dziechciowscy.

- „Wierzchowo Njus", od początku maja do końca lipca 1982 roku 64 numery informacyjno-publicystycznego pisma, powstającego rękopiśmiennie, początkowo w jednym, a później w kilku egzemplarzach, w obozie internowania w Wierzchowie Pomorskim wydawali Stefan Konstanty Kozłowski (pomysłodawca, właściciel pierwszego przemyconego radia), Tomasz Zieliński, Michał Paziewski. Z tytułem tym - zawierającym głównie wiadomości z nasłuchu Radia Wolna Europa, BBC, France Internationale i „Głosu Ameryki" - stale współpracowali Mirosław Witkowski i Sławomir Dziechciowski (szata graficzna, publicystyka), Jerzy Zimowski (komentarze polityczne), oraz Adam Wycichowski (rysunki).

- „Świt", pod winietą dodawano „Niezależny KOS NSZZ >Solidarność< Region Pomorza Zachodniego", od września 1982 do grudnia 1983 roku (nr 14), środowiskowo związane z Fabryką Mechanizmów Samochodowych „Polmo" pismo redagował i drukował głównie Zbigniew Chendoszko.

- „Jednodniówka bezokolicznościowa", satyryczne pismo od drugiej połowy listopada 1982 roku redagowane i drukowane przez Ryszarda Dąbrowskiego z pomocą Longina Komołowskiego i Piotra Jarockiego, a później także przez Radzimierza Nowakowskiego i Kazimierza Jordana. W połowie grudnia 1983 roku ukazał się numer 8 (ostatni), który wydał Piotr Jassem.

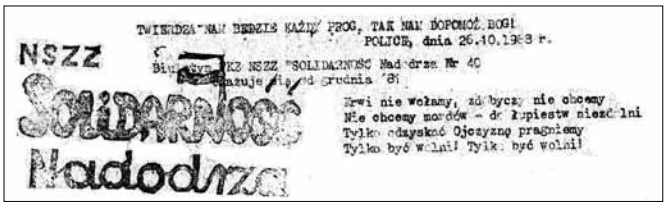

- „Nadodrze", od grudnia 1982 roku do końca stycznia 1989 roku 42 numery pisma Tajnej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" Zakładów Chemicznych „Police" (pod winietą kilku numerów podawano również Szczecin i Stargard Szczeciński) wydawali głównie Kazimierz Drzazga, Jerzy Przybył, Władysław Diakun, Jerzy Boczar.

- „Krawędź. Ziemia Gryfińska", ukazujące się w Elektrowni „Dolna Odra" od marca 1983 do sierpnia 1984 roku (nr 22), redagowane i powielane przez Jana i Mirosława Witkowskich, Zdzisława Podolskiego, Wojciecha Nicpana, Zbigniewa Brackiego, Edwarda Skórskiego, Witolda Romanieckiego.

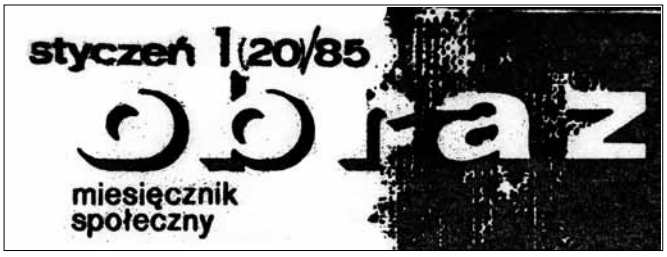

- „Obraz", miesięcznik wydawany od maja 1983 do kwietnia 1989 roku (nr 71) przez Niezależny Zespół Solidarnościowy, który tworzyli Stefan Konstanty Kozłowski (inicjator i redaktor naczelny dwóch pierwszych numerów), Tomasz Zieliński (redaktor naczelny), Wojciech Soiński, Michał Paziewski, Piotr Mync.

Spośród szerokiego grona osób z pismem tym, drukowanym głównie przez Janinę i Henryka Szorców, ściśle współpracowali między innymi Zdzisław Konury, Sławomir Lener, Wiesław Tomaszewski, Halina Swarcewicz, Bożena Gielarowska, Barbara Kowalska, Barbara Bartoszewska, Hanna i Adam Kłaczyńscy, Bernadeta Kraśnikow, Jarosław Piwar (dziennikarz przedgrudniowej „Jedności" przekazujący artykuły z Pyskowic), Mirosław Kwiatkowski, Ryszard Wojcieszak, Marek Przygodzki, Jerzy Zimowski, Andrzej Milczanowski, Jan Tarnowski, Władysław Daniszewski, Alina Głowacka, Jacek Gałkowski, Maria Derol, Marek Tałasiewicz, Bazyli Baran, Zbigniew Kowalewski. Bliskimi współpracownikami pisma byli zamieszkali w Szwecji Radzimierz Nowakowski, Adam Wycichowski i Tadeusz Dziechciowski.

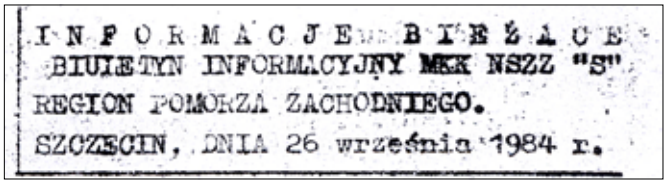
INFORMACJE BIEŻĄCE
BIULETYN INFORMACYJNY MKK NSZZ "S"
REGION POMORZA ZACHODNIEGO.
SZCZECIN, DNIA 26 września 1984 r.

- „Informacje Bieżące", zapewne od maja 1983 do lutego 1987 roku (do wydań tylko z tego okresu udało się dotrzeć) ukazało się przynajmniej 32 edycji tego nienumerowanego tytułu sygnowanego przez Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność" Region Pomorza Zachodniego. Pismo było redagowane głównie przez Zbigniewa Chendoszko.

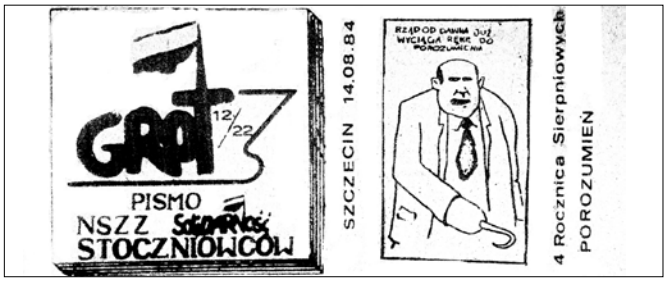

- „Grot", wydawany od połowy lipca 1983 do początku maja 1989 roku (nr 105). Wiodące pismo robotnicze na Pomorzu Zachodnim, związane przede wszystkim z Tajną Komisją Zakładową NSZZ „Solidarność" Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, początkowo tworzone przez Marcina Wyrzykowskiego, a po kilku numerach między innymi przez Longina Komołowskiego, Barbarę Prochor, Władysława Dziczka, Teresę Kosiak, Romana Kaźmierczuka, Kazimierza Janickiego, Jerzego Wysockiego, Józefa Solkę, Michała Paziewskiego, Andrzeja Milczanowskiego, Jacka Gałkowskiego oraz szerokie grono współpracowników. Od połowy października 1985 roku organ Rady Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Regionu Pomorza Zachodniego.

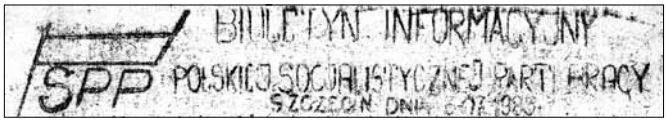

- „Biuletyn Informacyjny Polskiej Socjalistycznej Partii Pracy", od lipca 1983 do sierpnia 1984 roku (nr 19) pismo, związane głównie ze środowiskiem ze Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, redagowali i powielali Ewa i Konrad Szulcowie, Tadeusz Lichota, Stefan Kuczyński, Andrzej Lipski, Grzegorz Ostrowski, Ludmiła i Witold Romanowscy, Wojciech Duklanowski.

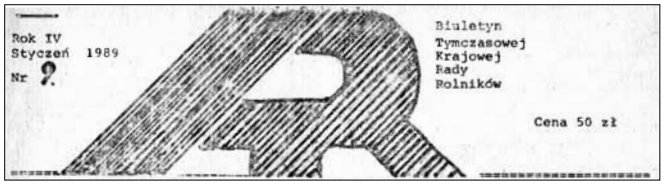

- „AR", kwartalnik społeczno-polityczny dla rolników, z którym współpracowali między innymi Artur Balazs i Piotr Baumgart. Drukowany głównie przez Janinę i Henryka Szorców, przy pomocy Longina Komołowskiego. Po numerze 1. z przełomu 1983/1984 roku, 12 kolejnych wydań od maja 1984 do połowy kwietnia 1989 roku zredagował Mieczysław Kaczanowski.

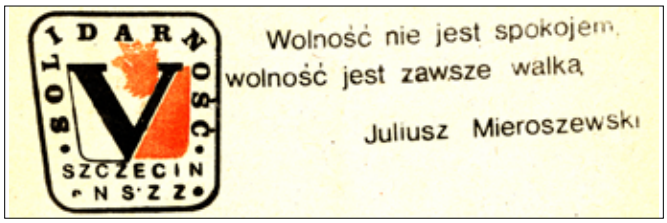

- „Obecność", między styczniem 1984 a lutym 1985 roku 13 numerów tego społeczno-kulturalnego miesięcznika zredagowali i powielili między innymi Grzegorz Kołtuniak, Danuta Dąbrowska i Paweł Bartnik.

- „Termit", od początku kwietnia 1985 do końca listopada 1989 roku (nr 53) w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej pismo Tajnej Komisji Zakładowej „Solidarności" redagowali i drukowali Edwin Łukasiewicz, Wiesław Szajko, Mieczysław Lisowski, Andrzej Milczanowski oraz Piotr Niemczyk.

- „Robotnik Pomorza Zachodniego", od listopada 1985 (nr 95) do stycznia 1990 roku (nr 155) dwutygodnik (stanowiący kontynuację warszawskiego „Robotnika" Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności"), składający się z materiałów stołecznych oraz szczecińskich, redagował przede wszyst-

kim Zbigniew Chendoszko. Współpracowali z nim – w listopadzie 1987 roku tworząc Okręgowy Komitet Robotniczy Polskiej Partii Socjalistycznej – między innymi Tadeusz Baran, Eugeniusz Bujwid, Stanisław Suszek, Jan Kostecki, Aleksander Krystosiak, Władysław Daniszewski.

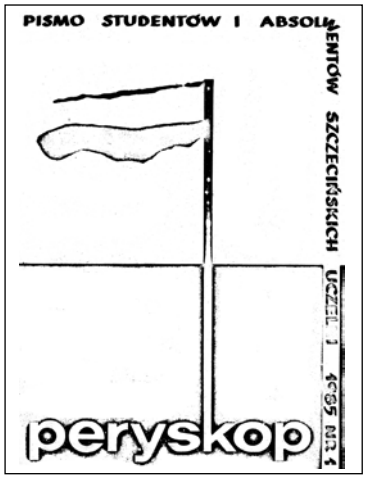

- „Peryskop". Nadtytuł: Pismo Studentów i Absolwentów Szczecińskich Uczelni. Jedyny zredagowany i wydrukowany w grudniu 1985 roku numer powstał głównie dzięki Grzegorzowi Wilczyńskiemu i Januszowi Pańczyszynowi, działaczom duszpasterstw akademickich i Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Szczecińskiej i Uniwersytetu Szczecińskiego, wkrótce aresztowanym przez SB.

- „Gryf", od stycznia 1986 do czerwca 1990 roku (nr 44) dotychczasowe środowisko wydawców „Jedności" wydawało ten tytuł, pod którego winietą dodawano, że jest zachodniopomorskim pismem „Solidarności Walczącej". Redakcję tworzyli Krzysztof Korczak, Winicjusz Gurecki, Stanisław Janusz oraz Leszek Dobrzyński.

- „Lustro", pismo uczniów kilku szkół średnich tworzących Ruch Młodzieży Niezależnej, redagowane, między lutym 1986 a styczniem 1989 roku (nr 17-18) drukowane i kolportowane przez Adama Zadwornego (redaktor naczelny), rodzeństwo Ewę i Wojciecha Woźniaków, Roberta Naklickiego, Krzysztofa Wojtasiaka. Wkrótce grono to przystąpiło do Federacji Młodzieży Walczącej.

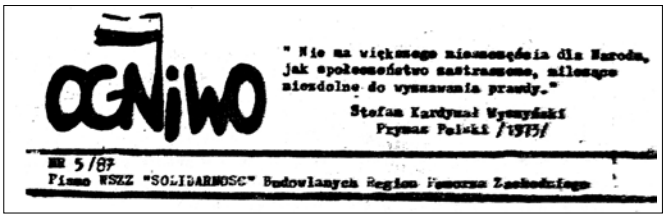

- „Ogniwo", od maja 1986 do początku października 1989 roku (nr 29) pismo Tajnej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" Budowlanych Pomorza Zachodniego redagowane najpierw przez Jadwigę Marszczek, a później przez Szczepana Araszkiewicza (również drukarz) we współpracy z Wojciechem Duklanowskim, Wiesławem Szajko i Zbigniewem Jasiną.

- „Pomorze", od czerwca 1986 do marca 1989 roku ukazało się kilkanaście (w większości nie numerowanych, choć datowanych) wydań pisma winietą odwołującego się do przedgrudniowej „Jedności", sygnowanego przez Tymczasowy Zarząd Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność", które redagował oraz drukował głównie Jerzy Zaręba.

- „Pismo Ruchu Wolność i Pokój", kwartalnik publicystyczny, drukowany w Warszawie, którego cztery numery ukazały się między wiosną 1987 a zimą 1988 roku, tworzony głównie przez liderów Niezależnego Zrzeszenia Studentów sprzed stanu wojennego, którego nieformalnym redaktorem naczelnym był Andrzej Kotula, tworzone między innymi przez Teresę Hulboj, Danutę Dąbrowską, Marzenę i Jerzego Kowalskich, Marka Adamkiewicza, Pawła Bartnika i Marka Błaszkiewicza.

- „Skafander", pismo o profilu literackim (tzw. fanzin), kontestujące zarówno nurt oficjalny, jak i opozycyjny wobec systemu ustrojowego PRL, a pró-

bujące tworzyć trzeci obieg wydawniczy. Od wiosny 1987 do marca 1989 roku 10 jego numerów współtworzyli głównie Mirosław Witkowski, Krzysztof Konkol, Renata Mazurowska, Arkadiusz Rek, Jacek Czapliński.

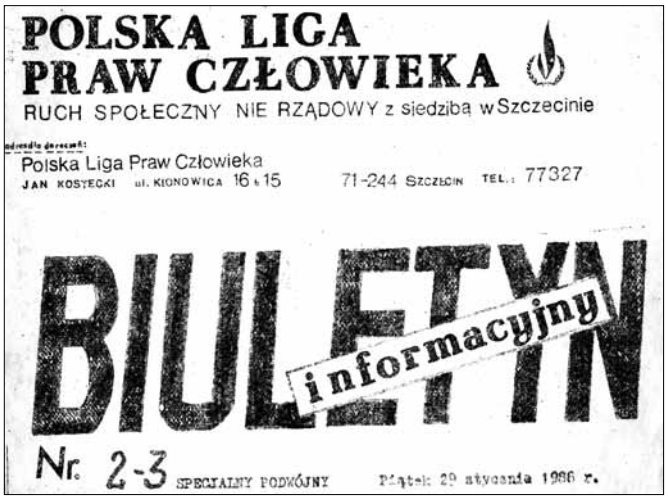

- „Biuletyn Informacyjny", od września 1987 do lipca 1988 roku pięć numerów biuletynu Polskiej Ligi Praw Człowieka, noszącego podtytuł „Ruch Społeczny Nierządowi", zredagowali i powielili Jan Kostecki razem z Grzegorzem Ostrowskim.

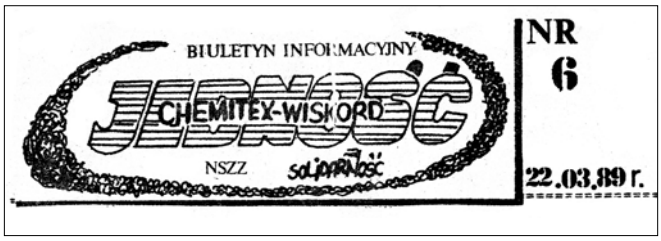

- „Jedność–Chemitex-Wiskord", od początku października 1987 do przynajmniej końca marca 1989 roku (nr 6) w Zakładach Włókien Chemicznych „Chemitex-Wiskord" biuletyn informacyjny redagowali między innymi Henryk Stachal i Henryk Drożdż.

- „Ad Vocem", dwutygodnik, a wkrótce miesięcznik wipowski dwutygodnik informacyjny, którego 14 numerów od listopada 1987 do lutego 1990 roku wydrukował Szczepan Araszkiewicz, a redagowali między innymi Tomasz Duklanowski, Małgorzata Narożna, Maciej Romaniuk, Marek Adamkiewicz, Krzysztof Hołowczyc, Andrzej Kotula.

- „Czarna Skrzynka", między listopadem 1987 a lutym 1989 roku 10 numerów biuletynu informacyjnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów uczelni szczecińskich zredagowali oraz powielili Adam Zadworny, Dariusz Foterek, Krzysztof Wojtasiak, Grzegorz Kucharski, Jacek Rujna, Jacek Motylewski, Piotr Kasprowicz, Roman Ciepliński, Agnieszka Kuchcińska, Janusz Wilczyński.

- „Jedność Stoczniowa", z końcem 1987 roku Tymczasowa Komisja Zakładowa NSZZ :Solidarność" Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego (środowisko skupione wokół Mariana Jurczyka) reaktywowała biuletyn pod tym samym tytułem wydawany przed wprowadzeniem stanu wojennego]. Wznowione pismo (błędnie od nr 82, choć wcześniej bowiem ukazały się numery 82 i 83), redagowane głównie przez Alinę Głowacką, a drukowane przez Kazimierza Janickiego, ukazywało się do końca maja 1989 roku (nr 91).

- „Głos Wolności", wiosną 1988 roku dwa numery tego pisma „Solidarności Walczącej" zredagował i powielił Eugeniusz Janiszewski.

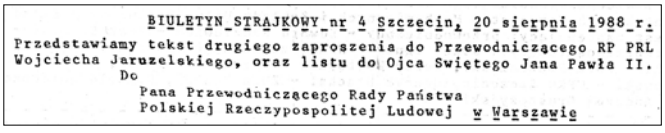
BIULETYN STRAJKOWY nr 4 Szczecin, 20 sierpnia 1988 r.
Przedstawiamy tekst drugiego zaproszenia do Przewodniczącego RP PRL Wojciecha Jaruzelskiego, oraz listu do Ojca Świętego Jana Pawła II.
Do
Pana Przewodniczącego Rady Państwa
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Warszawie

- „Biuletyn Strajkowy", „Biuletyn Solidarności", „Biuletyn MKO Solidarności", „Korespondent" to w zasadzie jedno pismo, którego tytuł i redakcja zmieniały się (numeracja była kontynuowana), wraz z miejscem i okolicznościami jego wydawania. Rzecznik prasowy strajkujących w sierpniu 1988 roku w Zarządzie Portu Szczecin-Świnoujście oraz w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej Jerzy Zimowski wraz

z rozpoczęciem strajku rozpoczął redagowanie pisma wspólnie z Tomaszem Zielińskim, Michałem Paziewskim, Andrzejem Kotulą i Piotrem Niemczykiem, które uaktualniało swoją nazwę: po zakończeniu protestów w połowie września (od nr 15), po powstaniu Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego NSZZ „Solidarność" (od nr 18), aby na początku 1989 roku przekształcić się w biuletyn „Korespondent" (od nr 30), który był wydawany do końca 1990 roku (nr 88). Redakcją zajmowali się między innymi Andrzej Kotula, Piotr Niemczyk, Zbigniew Jasina, Mirosław Witkowski, Edwin Łukasiewicz, Krzysztof Dudziński.

- „Kurier Strajkowy" i „Kurier Międzystrajkowy", pismo wydawane od połowy sierpnia 1988 roku w strajkującym Porcie (do nr 14), a do połowy 1989 roku przy Międzyzakładowym Komitecie Organizacyjnym NSZZ „Solidarność" (do nr 29). Ta sama redakcja – Zbigniew Jasina i Olgierd Wojciechowicz, jego charakter, a nawet drukarz Wiesław Szajko, nakazują traktowanie pisma jako w zasadzie jednego tytułu, który zmieniał się wraz z ówczesnymi nastrojami społecznymi nakazującymi nie wykluczać nowej fali protestów, jeśli nie dojdzie do zapowiadanych rozmów Okrągłego Stołu.

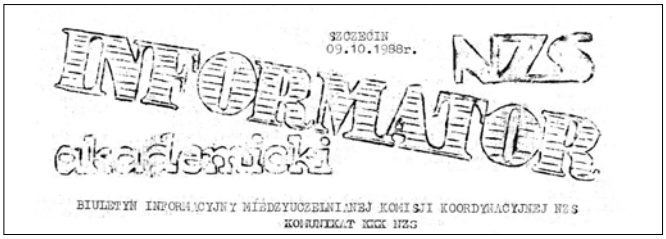

- „Informator Akademicki", biuletyn Międzyuczelnianej Komisji Koordynacyjnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów, którego 5 numerów między październikiem a grudniem 1988 roku zredagowali Jacek Motylewski, Adam Zadworny, Krzysztof Wojtasiak i Tomasz Lisiecki.

- „Akademik PS-US-AR", w październiku i listopadzie 1988 roku dwa numery pisma Niezależnego Zrzeszenia Studentów, adresowanego do mieszkańców domów studenckich, wydał Krzysztof Wójcik.

- „Wici", od grudnia 1988 do kwietnia 1990 roku (nr 19) pismo „Solidarności Walczącej", opatrywane mottem „Wolni i Solidarni", redagował i drukował głównie Eugeniusz Janiszewski.

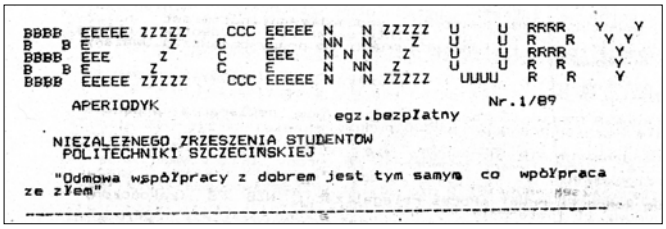

- „Bez Cenzury", pismo noszące podtytuł Aperiodyk Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Szczecińskiej, wydawane od stycznia do października 1989 roku (nr 5), tworzyli Sławomir Oziero (redaktor naczelny), oraz między innymi Ryszard Kucharski, Krzysztof Wojtasiak, Dorota Stankiewicz, Zbigniew Matczak, Ernest Wierzbicki.

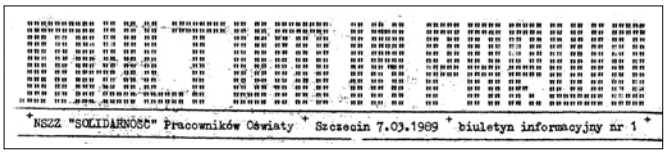

- „Multum in Parvo", od początku marca 1989 roku biuletyn informacyjny NSZZ „Solidarność" Pracowników Oświaty i Wychowania redagowali między innymi: Piotr Lisak, Sławomir Osiński i Anna Parchimowicz (do likwidacji cenzury w czerwcu 1990 roku ukazało się 28 numerów).

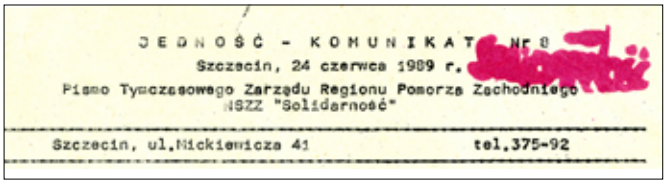

- „Jedność–Komunikat", od początku maja do połowy października 1989 roku (nr 23) pismo Tymczasowego Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność" (środowisko skupione wokół Mariana Jurczyka) wydawał Krzysztof Sałaciński.

- „Komunikat" Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego „Solidarności" Pomorza Zachodniego, w maju 1989 roku siedem wydań tego biuletynu informacyjnego zredagował Marek Tałasiewicz.

- „Wybory `89", jednodniówka Szczecińskiego Klubu Katolików, promująca kandydatów Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego „Solidarności" Pomorza Zachodniego do Sejmu i Senatu, zredagowana w maju 1989 roku przez Przemysława Fenrycha we współpracy z Mieczysławem Kaczanowskim, Markiem Koćmielem i Mieczysławem Ustasiakiem.

- „Gazeta Wyborcza", trzy numery w maju i jeden po drugiej turze wyborów w czerwcu 1989 roku wydał – już oficjalnie, kiedy ingerencje cenzorskie były ograniczone w zasadzie do spraw wojskowych bądź stosunków PRL ze Związkiem Sowieckim - Obywatelski Komitet Porozumiewawczy „Solidarność" Regionu Pomorza Zachodniego. Redakcję tworzyli między innymi Lidia Więckowska (redaktor naczelna), Danuta Kaczanowska, Alina Głowacka, Wojciech Patyna, Przemysław Fenrych, Michał Paziewski, Anna Więckowska-Machay.

Przy okazji należy wspomnieć, iż trzy ogólnopolskie tytuły miały również na Pomorzu Zachodnim swoje, zazwyczaj kilkutysięczne, wydania, które zawsze przy winiecie opatrywano nadrukiem: „Edycja Region Pomorza Zachodniego". Od połowy 1982 do końca 1985 roku Wiesław Szajko, Ryszard Wyżga, Olgierd Wojciechowicz i Szczepan Araszkiewicz - po zaprzestaniu wydawania „Proleta" - regularnie powielali „Tygodnik Wojenny" (ukazujący się od początku stycznia 1982 roku również w kilku innych województwach). Kiedy to ogólnopolskie pismo rozwiązało się (nr 105), w latach 1985-1988 drukowali oni, od początku jej istnienia, „Samorządną Rzeczpospolitą". Z kolei głównie Zdzisław Konury w latach 1984-1989 zajmował się zachodniopomorskią edycją „Tygodnika Mazowsze".

Kiedy w 1989 roku dochodziło do nie mających swojego odpowiednika w dziejach, pokojowych przemian Okrągłego Stołu, to przede wszystkim infrastruktura prasy opozycyjnej dała realną nadzieję na sprawne przeprowadzenie częściowo demokratycznych wyborów i następnie przejęcie władzy w państwie.

Wtedy to „Tygodnik Mazowsze", nieoficjalny organ podziemnych władz „Solidarności" (Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, w której przedstawicielem zachodniopomorskiego regionu był Andrzej Milczanowski) przekształcił się w pierwszy w całym bloku komunistycznym niezależny dziennik, czyli „Gazetę Wyborczą", a premierem wkrótce został przedgrudniowy redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność" Tadeusz Mazowiecki. Z kolei na Pomorzu Zachodnim za regionalne programy wyborcze w telewizji odpowiadał Władysław Daniszewski, za radiowe Alina Głowacka, za cztery numery „Gazety Wyborczej", wydawanej przez Obywatelski Komitet Porozumiewawczy „Solidarność", Lidia Więckowska oraz inne osoby zaangażowane w redagowanie podziemnych periodyków. To z grona drugoobiegowych redaktorów, autorów czy drukarzy wyrośli nie tylko prezydenci Bronisław Komorowski i Lech Kaczyński, kolejni premierzy Jan Olszewski, Jarosław Kaczyński i Donald Tusk, jak też marszałkowie Senatu Bogdan Borusewicz i Zbigniew Romaszewski, ale tak samo pochodzący z naszego województwa wybitni związkowcy – Edward Radziewicz, Longin Komołowski, Stanisław Możejko; czołowi działacze samorządowi – Marek Tałasiewicz, Władysław Lisewski, Marek Koćmiel, Bartłomiej Sochański, Paweł Bartnik, Jan Otto, Piotr Mync, Wojciech Soiński, Przemysław Fenrych, Bazyli Baran, Władysław Diakun; ważni politycy, ministrowie i posłowie - Andrzej Milczanowski, Jerzy Zimowski, Mieczysław Ustasiak, Artur Balazs, Leszek Smykowski, Jacek Sauk, Leszek Dobrzyński. Masowość i siła niezależnego ruchu wydawniczego praktycznie uczyniła go niezniszczalnym. W konsekwencji ludzie ci przyczynili się do powstania alternatywnej kultury i polityki, do załamania się komunizmu i - co więcej - byli swego rodzaju zwiastunem społeczeństwa obywatelskiego w wolnej Polsce.

Michał Paziewski

Techniki drukarskie w podziemiu wydawniczym w PRL

Leży przede mną dokument z nadrukiem „Tajne" noszący datę 12 maja 1982 roku zatytułowany „Informacja o metodach pomnażania dokumentów". Został przygotowany przez Naczelnika Wydziału Badań Dokumentów Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO, dla Wydziałów numer III różnych Komitetów Wojewódzkich MO (Wydziały III zajmowały się tzw. działalnością antypaństwową). Czytamy w nim: „W kraju od kilku lat wzmogła się ilość wrogiej, pisanej propagandy, pomnażanej różnorodnymi technikami profesjonalnymi i chałupniczymi".

Celnie ujęte. Autor podszedł do problemu profesjonalnie i opisał właściwie wszystkie znane wówczas techniki drukowania. Nie wiem czy to przydało się funkcjonariuszom SB – opis był chyba zbyt drobiazgowy. Nie używaliśmy linotypów, monotypów, czcionek metalowych itd. Nasze techniki drukarskie można scharakteryzować po prostu jako „chałupnicze".

Zaczęło się od wyżymaczki. W latach 60. produkowane były pralki ręczno-automatyczne o wdzięcznej nazwie „Frania". Trzeba było wymontować z niej wyżymaczkę. Na papierze kredowym, przy pomocy kalki hektograficznej, pisało się na maszynie do pisania (bez taśmy barwiącej) odpowiedni tekst w taki sposób, aby powstał obraz odwrócony. Była to matryca. Następnie zwilżoną denaturatem kartkę papieru przykładało się do matrycy i przeciągało przez wyżymaczkę. Tusz hektograficzny z matrycy przy kolejnych kartkach papieru rozpuszczał się powoli i otrzymywaliśmy fioletowe lub czarne odbitki. W ten sposób w 1968 r. m.in. Bogusława Blajfer, Eugeniusz Smolar i Andrzej Seweryn powielali ulotki przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, za co trafili do więzienia.

Tej samej techniki używaliśmy w końcu 1976 r., jednak wówczas znalezienie pralki „Frani" okazało się bardzo trudne, gdyż wychodziły już z użytku. Udało nam się odnaleźć kilka gdzieś w piwnicach. Dawało się na tym odbić 100-150 w miarę czytelnych kopii.

Niedługo później pokazał się powielacz spirytusowy. Został zakupiony przez Piotra Jeglińskiego w Paryżu. Zabrał go do Polski (a potem kolejne dwa) Wit Wójtowicz z Teatrem Leszka Mądzika. To był już cud techniki. Matrycę zakładało się na bęben, a denaturat wlewało się do specjalnego pojemnika, który dozował go w odpowiednich ilościach na kartkę papieru. Na takim powielaczu dawało się odbić nawet 250–300 w miarę czytelnych kopii. Tą techniką w maju 1977 r., w Lublinie studenci ze środowiska późniejszych „Spotkań": Janusz Bazydło, Janusz Krupski, Paweł Nowacki, Wit Wójtowicz, odbili pierwsze pozycje Nieocenzurowanej (później Niezależnej) Oficyny Wydawniczej NOWA (pierwszy i drugi numer „Zapisu"). W ten sposób zimą 1977 r. drukowano również „Komunikaty KOR" i „Biuletyn Informacyjny" a później kilka pozycji NOWEJ i pierwsze numery „Robotnika".

Wiosną 1977 r. zapukał do mojego mieszkania jakiś starszy pan, z małą drewnianą walizeczką w ręku. Przyniósł powielacz ramkowy i kilkanaście matryc. Te ostatnie na niewiele się zdały, ponieważ były przestarzałe. Jeszcze przedwojenna (sprzed 1939 roku) produkcja. Matrycę stencilową, zwaną inaczej białkową (taką niezwykle trwałą bibułkę nasyconą pewną substancją), należało wkręcić do maszyny do pisania i pisać bez taśmy barwiącej. Odpowiednio mocno uderzane czcionki „wycinały" jak gdyby szablon, który zakładało się na ramkę (taką jak do obrazu) z naciągniętą tkaniną (cienki jedwab, szyfon). Ramka na zwykłych zawiasach była przykręcona do drewnianej płyty, na której układało się kilkadziesiąt kartek czystego papieru. Wyglądało to następująco: drewniana płyta z przykręconą ramką od obrazu, następnie papier, potem matryca, tkanina i po niej przeciągaliśmy wałkiem z farbą, która przenikała przez tkaninę i matrycę (szablon) na papier. Był to domowy powielacz, który mógł zbudować sobie każdy.

Do drukowania niezbędne były dwie osoby. Jedna, która przeciągała wałkiem z farbą i druga, która podnosiła ramkę i wyjmowała zadrukowaną kartkę. Kiedyś owa druga osoba nie pojawiła się w takiej domowej drukarni, a Witold Łuczywo musiał wydrukować jakiś pilny tekst. Cóż zrobił? Zdjął spodnie. Wyciągnął gumkę z majtek, a stół, na którym pracował przesunął na środek pokoju. Do ramki przywiązał gumkę, której drugi koniec podwiązał do żyrandola – ramka odskakiwała sama. W ten sposób powielacz dwuoso-

bowy przerobił na jednoosobowy. Dobry drukarz był w stanie wykonać w ciągu godziny ok. 500 kopii. Z jednej matrycy na takim prostym powielaczu można było wykonać 2–3 tys. kopii.

W sytuacji gdy nie było ramki pod ręką, a pilnie należało coś powielić, wykorzystywaliśmy technikę tzw. sączka. Na płycie drewnianej (mogło być to także szkło, ostatecznie w każdym domu była stolnica czy lustro), kładło się sączek czyli nieco waty, gazy, jakiejś chłonnej tkaniny. Nasycało się ją farbą. Na to szła opisana powyżej matryca białkowa (szablon). Kładło się kartkę czystego papieru, przeciągało ciężkim wałkiem (tym razem bez farby), a farba z sączka przez matrycę trafiała na papier. Taką sączkową drukarnię sfotografowano w sierpniu 1980 r. w Stoczni Gdańskiej. Do czasu kiedy nie „zdobyliśmy" stoczniowej drukarni offsetowej wszystko było drukowane w ten sposób.

Ale wybiegłem za daleko w przyszłość. Jesienią 1977 r. okazało się, że ten walizkowy powielacz, przyniesiony przez kombatanta AK, istnieje także w wersji elektrycznej. I to w dwóch rozwiązaniach technicznych: bębnowym i siatkowym. Do powielacza bębnowego wlewało się odpowiednio rozrobioną farbę, zaś na bęben nakładało matrycę białkową. Obroty bębna powodowały, że siła odśrodkowa przeciskała farbę przez szablon (matrycę). Na takim bębnowym powielaczu pracował m.in. Janek Walc. Wydajność tego powielacza to ok. 3 tys. kopii w ciągu godziny. Z jednej matrycy można były wyciągnąć spokojnie do 5 tys. odbitek.

Powielacze siatkowe Rex Rotary i Gestetner na dwóch wałkach miały rozpiętą siatkę. Farba była dozowana na jeden z wałków i przez siatkę oraz matrycę białkową (rodzaj szablonu takiego samego jak do powielaczy bębnowych, ramek i sączka) przeciskana na papier.

Wszystkie powielacze elektryczne były produkowane na Zachodzie, ale papier – w Polsce. Nie trzymał gramatury, kartki często nie były prostokątne, ale tworzyły równoległobok o kątach nie koniecznie równych 90 stopni. Bez przerwy się wkręcał, a delikatne białkowe matryce rwały się. Nie sposób było ustawić podajniki tak, aby sprawnie podawały papier. Okazało się, że człowiek może być znacznie sprawniejszym podajnikiem aniżeli precyzyjne urządzenie. Na palec należało założyć kawałek gumowej rękawicy i wsłuchując się w pracę powielacza rytmicznie wpuszczać kartki do maszyny. Powielacz od razu zaczynał działać sprawniej.

Na przełomie lat 1978/79 pojawił się w naszych rękach pierwszy powielacz offsetowy. Była to kolejna „rewolucja". Nakłady mogły sięgać dziesiątków tysięcy. Zależało to tylko od ilości posiadanego papieru i możliwości kolportażu. Przez długi czas był to jedyny nasz offset. Ciężki i trudny w transporcie. Mieliśmy właściwie tylko Fiaty 126 p, więc aby go przewieźć trzeba było wyjmować siedzenie obok kierowcy. Jeden człowiek nie był w stanie sam tego podnieść. Dopiero latem 1980 r. pojawił się drugi, lżejszy i mniejszy. Przywiózł go z wyprawy na Zachód reżyser Stanisław Bareja. Wyjeżdżał dużym Mercedesem. Ale jeszcze w Polsce, pod Krakowem, samochód został rozbity i na dalszą drogę Bareja z żoną i córką musiał się przepakować do małego Fiata. Nie zraziło go to. Obiecany offset, rozkręcony na części, przywiózł ... na dachu „malucha". Aż dziw, że celnicy bliżej nie zainteresowali się bagażem. A gdyby nawet, to można byłoby tłumaczyć, że to części do pralki automatycznej, gdyż offset, podobnie jak pralka, miał bęben. W okresie stanu wojennego według skromnych obliczeń przeszmuglowano do Polski około 200 offsetów.

Największym osiągnięciem była technika sitodrukowa. Ramka, podobna jak do druku na matrycach białkowych, miała rozpiętą, nierozciągliwą tkaninę, na którą nanosiło się specjalną emulsję (można ją było zrobić samemu z dostępnych na rynku składników). Na nią nakładało się diapozytyw tekstu, który chciało się wydrukować. Mógł to być pomniejszony fotograficznie tekst maszynowy, plakat czy zrastrowana fotografia. Naświetlało się światłem ultrafioletowym. W miejscach gdzie diapozytyw nie był zaświetlony, czyli przepuszczał światło, emulsja utwardzała się. Tam gdzie światło nie docierało, emulsję można było wymyć zwykłą wodą. Przez tak otrzymany szablon trzeba było przeciskać farbę raklem czyli gumą oprawioną w dwie deseczki. Zaletą sitodruku było też to, że można było drukować w formacie A3, czyli przy jednym pociągnięciu rakla od razu 2 strony. Nakłady mogły osiągać, w zależności od staranności wykonania matrycy, do 30 tys. egzemplarzy.

Jednym z podstawowych celów totalitarnego państwa była pełna kontrola nas i naszych myśli oraz dbanie o to, aby tych myśli – jeśli już są nieprawomyślne – nikt nie mógł poznać. Gdy okazało się, że powielacz może być w każdym domu, że każdy może pisać, drukować i kolportować co chce – totalitarne państwo musiało upaść.

Mirosław Chojecki

SB, „bibuła" i fałszywki

Działalność wydawnicza stanowiła po wprowadzeniu stanu wojennego pierwszy możliwy sposób wyrażenia dezaprobaty dla poczynań władz państwowych. Na terenie szczecińskiej Stoczni Warskiego i innych zakładów pracy kolportowano przygotowywane spontanicznie ulotki, pisane odręcznie przez pracowników. Tego typu aktywność zagrożona była jednak niezwykle surowymi karami, orzekanymi w trybie doraźnym. Jedną z pierwszych osób szczecińskiej „Solidarności" ukaranych za przygotowywanie i kolportaż takich ulotek była Iwona Szubryt (wyrok z dnia 11 stycznia 1982 r.), członkini Związku z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Energetyki Cieplnej w Szczecinie, pracownica Zarządu Regionu. Została ona oskarżona o rozpowszechnianie ulotki mającej charakter przemówienia przygotowanego na kolejną rocznicę wydarzeń Grudnia '70 i w trybie doraźnym skazano ją na karę 3 lat pozbawienia wolności oraz 2 lat pozbawienia praw publicznych. Co znamienne, w sprawie orzekał Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego, nie zaś sąd powszechny.

W okresie stanu wojennego tajna policja polityczna starała się jak najszybciej ustalić siatkę wydawców, drukarzy i kolporterów pism podziemnych, a zgromadzone dowody musiały być na tyle silne by mogły przełożyć się na akt oskarżenia i w jego efekcie wyrok pozbawienia wolności. Kary miały oczywiście zniechęcić kolejnych potencjalnych konspiratorów do tego typu działalności. Przykłady tego rodzaju strategii stanowiły lokalnie działania przeciwko działaczom „KOS-a" czy osobom zrzeszonym wokół „Biuletynu Informacyjnego". Tzw. dużego „KOS-a" (wydawanego w formacie A-3) redagowała Teresa Hulboj, współpracując z Adamem Jeżewskim, Antonim Rodziewiczem oraz Marcinem i Jerzym Tomaszem Wyrzykowskimi. W trakcie przygotowywania jednego z kolejnych numerów pisma oraz ulotek wzywających do rocznicowej manifestacji (w dniu 23 sierpnia 1982 r.) SB zatrzymała redaktorów: Teresę Hulboj, Adama Jeżewskiego oraz Jerzego Tomasza Wyrzykowskiego. Wszyscy troje w listopadzie 1982 r. skazani zostali na kary pozbawienia wolności – Teresa Hulboj na karę 2,5 roku pozbawienia wolności, zaś Adam Jeżewski i Jerzy Tomasz Wyrzykowski na kary 1 roku i 3 miesięcy pozbawienia wolności. Na skutek wniosku o rewizję, złożonego w imieniu skazanych przez szczecińskich adwokatów Romana Łyczywka i Jerzego Chmurę, Sąd Najwyższy podtrzymał wyrok Sądu I instancji. Do zatrzymań doszło w mieszkaniu Antoniego Rodziewicza. Samemu gospodarzowi udało się uniknąć aresztowania, jednak dalszą działalność opozycyjną prowadził on odtąd w ukryciu, aż do ujęcia go w końcu kwietnia 1983 r.

POWSTALIŚMY – JESTEŚMY – BĘDZIEMY

NR 1

15 listopada 1982 r.

Cena 30 zł

bez DYKTATU

PISMO MIĘDZYREGIONALNEJ KOMISJI OBRONY NSZZ Solidarność

Międzyregionalna Komisja Obrony NSZZ SOLIDARNOŚĆ podjęła decyzję o wydawaniu pisma o zasięgu ogólnokrajowym. Dojdzie więc do połączenia wysiłków dziesięciu kilkunastu regionów wydających dotychczas niezależnie od siebie konspiracyjne pisma. „Bez Dyktatu" będzie realizowało linię programową MKO, **taką linię, jaka ukształtuje się z woli członków SOLIDARNOŚCI zdecydowanych na kontynuowanie działalności mimo represji stanu wojennego** i delegalizacji naszego Związku. Pragniemy, aby pismo ukazywało się co dwa tygodnie z regularnością, na jaką pozwolą możliwości poligrafii i kolportażu w warunkach konspiracji.

Pierwszy numer pisma, który obecnie otrzymujecie jest nietypowy, zawiera komplet dotychczasowych materiałów MKO – komunikaty, oświadczenia, Deklarację oraz pierwsze tezy do dyskusji nad programem działania. Kilka uwag na tym miejscu pragniemy poświęcić Deklaracji MKO z dn. 18 września. W chwili, gdy ją uchwalaliśmy, istniała jeszcze nadzieja na wynegocjowanie z władzami ugody społecznej — pierwsze jej egzemplarze zostały natychmiast przesłane Komitetowi Rady Ministrów do spraw Związków Zawodowych. W dn. 8 października tejsz naszej Deklaracji nabrał szczególnej wymowy polityczne — stał się dokumentem dowodzi, dowodem, iż w SOLIDARNOŚCI istnieje liczący się nurt zorientowany na partnerskie porozumienie i przeciwny konfrontacyjnych. Bezprawnym aktem delegalizacji naszego Związku ten gest dobrej woli został odrzucony.

Dorobiony profil naszego pisma przewiduje, iż będzie ono zawierać przede wszystkim materiały napływające z regionów i od korespondentów w zakładach pracy, aby mogło stać się trybuną poglądów jak najszerszej rzeszy związkowców, forum wolnej wymiany myśli, czynnikiem odzwierciedlającym opinię publiczną, którą oficjalne środki masowego przekazu fałszują, a w najlepszym przypadku – ignorują. Wyrażamy pragnienie aby w trudnych chwilach walki o nasze prawa obywatelskie i związkowe pismo stanowiło dowód naszej obecności w życiu publicznym Polski, aby stało się płaszczyzną poznania naszej wspólnoty na rzecz sprawy, dla której zawiązała się nasza Komisja — w obronie SOLIDARNOŚCI.

Grupa Robocza
MKO NSZZ SOLIDARNOŚĆ

TEZY DO DYSKUSJI NAD PROGRAMEM DZIAŁANIA MKO NSZZ SOLIDARNOŚĆ

„Dalsze, zgodnie z niniejszą Deklaracją działania MKO będą wypływać z Waszych wskazań. Nie chcemy i nie będziemy działać bez konsultacji z szerokimi rzeszami członków SOLIDARNOŚCI".
(Z Deklaracji 18.09.1982 r.)

Przedstawiamy poniżej pierwsze cztery tezy do dyskusji zatwierdzone w ogólnych zarysach na spotkaniu Międzyregionalnej Komisji Obrony NSZZ SOLIDARNOŚĆ w dniu 27 października 1982 r. Dalsze materiały są nadal w opracowaniu bądź w toku konsultacji z zespołem ekspertów. W najbliższym czasie opublikujemy tezy poświęcone dokładnej analizie Ustawy o Związkach Zawodowych z 8.10 br., sytuacji gospodarczej kraju, procesowi wdrażania reformy gospodarczej, ocenie sytuacji życiowej ludzi pracy. Tezy mogą pochodzić również od Was, naszych Czytelników. Szczególnie zależy nam na sygnalizowaniu problemów nurtujących Wasze środowiska, a mających walor ogólnospołeczny.

REDAKCJA

d.c. na str. 2

KOMUNIKAT NR 1

W wyniku prowadzonych od ponad dwu miesięcy konsultacji między działaczami Komisji Krajowej, Zarządów Regionalnych oraz Komisji Zakładowych uczestniczących w Sieci Zakładów Wiodących, w dniu 4 września 1982 r. zawiązała się MIĘDZYREGIONALNA KOMISJA OBRONY NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" w skład której weszli działacze siedmiu regionów: Dolny Śląsk, Gdańsk, Małopolska, Rzeszów, Śląsko-Dąbrowski, Warmińsko-Mazurski i Ziemia Radomska. W toku są konsultacje z działaczami dalszych regionów.

Celem naszym jest bardziej skuteczne niż dotąd działanie na rzecz doprowadzenia do odwołania stanu wojennego i cofnięcia wszystkich konsekwencji, jakie zaistniały w wyniku jego wprowadzenia oraz zawarcie umowy społecznej przez władze Związku w toku szerokiej konsultacji wszystkich decyzji na warunkach partnerskich.

Żaden też nie orzeszdza o metodach prowadzących do jego realizacji. W dramatycznych warunkach grudnia 70 umiemy, kostaliśmy do podjęcia narzuconej formy walki. Dziś, w dziewięciu miesiącu trwania stanu wojennego uważamy za nieodzowne podjęcie wysiłków na rzecz przywartościowania metod działania Związku.

Nie możemy się zgodzić w przekonaniu, iż przytłaczająca większość Polaków pragnie normalizacji stosunków społecznych w kraju. Istnieje zatem konieczność szczegółowego rozpoznania stanowiska członków Związku w sprawie warunków, na jakich może i powinno dojść do tej normalizacji. Podejmujemy szeroką rozbudowę struktury organizacyjnej aby stworzyć możliwości przepływu informacji oraz upowszechniania stanowisk, dążąc i pozyskiwań ludzi pracy i zadbany o uwiarygodnienie tych przekazów.

Ponad wszelką wątpliwość prawdą jest również, iż władza skazana jest na dojście do porozumienia z Narodem. Stan wojenny nie może trwać wiecznie, a próba podstawienia pod społeczeństwo rozmaitych struktur i organizacji z wytworzonych

d.c. na str. 2

Pomimo pozbawienia wolności redaktorów „KOS-a", pismo nadal wydawano. Już jednak w grudniu 1982 r. SB, w ramach swoich działań, dokonała przeszukania prywatnego warsztatu rzemieślniczego przy al. Wojska Polskiego w Szczecinie, gdzie znaleziono kolejne numery „KOS-a" oraz „Biuletynu Informacyjnego «Solidarność»". Na ślad drukarni SB wpadła dzięki swojemu agentowi o pseudonimie „Bogdan"/"Ewa" – Wiesławowi Pawłowskiemu. Już wcześniej dzięki Pawłowskiemu przechwycono cześć nakładu pism opozycyjnych. Z notatki sporządzonej przez SB na temat Pawłowskiego wynika, iż dzięki jego działalności, począwszy od daty wydania 37 numeru „KOS-a", publikacja pisma było kontrolowana przez bezpiekę. Olbrzymia część jego nakładu, zamiast do rąk adresatów, trafiała do piwnic budynku przy ul. Małopolskiej w Szczecinie.

Drugi z „KOS-ów", „Biuletyn Informacyjny", drukowany był przez grupę szczecińskich i policki działaczy „Solidarności" z przedsiębiorstw budowlanych. Grupę tę, związaną z Adolfem Szutkiewiczem – wiceprzewodniczącym Krajowej Komisji Budowlanych „Solidarności", oraz Ryszardem Wyżgą (KBO-1), tworzyli głównie pracownicy Szczecińskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego. Od stycznia do końca marca 1982 r. wydali oni kilkanaście numerów pisma. Już 25 marca 1982 r. zatrzymano członków grupy: Zdzisława Czarnieckiego, Ireneusza Jońca, Jerzego Krzyżowskiego i Ryszarda Słowińskiego, których, po wstępnych przesłuchaniach, internowano. Po miesiącu internowania wytoczono im pro-

ces karny, zakończony 16 grudnia 1982 r. wyrokiem Sądu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, skazującym na kary w wysokości od 8 miesięcy do 1,5 roku pozbawienia wolności.

Podobnie jak w przypadku „KOS-a" i „Biuletynu Informacyjnego", Służbie Bezpieczeństwa udawało się docierać do drukarni innych szczecińskich pism podziemnych. W kwietniu 1982 r. bezpieka ujęła Dariusza i Eugeniusza Hillibrandów drukujących wspólnie z Wiesławem Wójcikiem dwustronicowe pismo „Korona Polska". Wiesławowi Wójcikowi udało się uniknąć zatrzymania, pomimo zasadzki przygotowanej przez SB w jednym z przeszukiwanych mieszkań. Wszystkie osoby odpowiedzialne za druk pisma zostały jednak ukarane.

Przed drugą rocznicą sierpnia '80 roku udało się bezpiece rozbić grupę wydającą „Stera", pismo związane ze szczecińskimi stoczniami. Z kolei wydawcy pisma „Prolet**"**, powstającego przy współpracy Wiesława Szajki z Romualdem Lipińskim, Olgierdem Wojciechowiczem i Jadwigą Dziechciowską oraz ze Sławomirem Dziechciowskim i Sławomirem Majewskim (w okresie do ich internowania), wpadli po wizycie, jaką złożył Wiesławowi Szajko Franciszek Skwierczyński – konfident SB o pseudonimie „Kamil".

W kolejnym okresie po zniesieniu stanu wojennego, a w szczególności po ostatniej amnestii dla więźniów politycznych z lipca 1986 r., można dostrzec zmianę strategii wobec działaczy parających się wydawaniem „bibuły". Otóż zakładać można, że przedstawicielom służb z ulicy Małopolskiej zależało odtąd przede wszystkim na kontrolowaniu rynku wydawniczego opozycji. SB starała się ustalić przedstawicieli poszczególnych grup wydawniczych, rozpracowywać je, lokować w ich środowisku swoich informatorów, i w miarę możliwości dezintegrować grupę, zniechęcając poszczególnych członków do działalności, a czasami nawet wykorzystywać łamy poszczególnych pism do skłócania struktur opozycji. I tak np. w czerwcu 1987 r. szczecińska SB szacowała, iż spośród 17 tytułów ukazujących się w mieście aż 11 podlegało jej bezpośredniej kontroli. Jedną z metod dezinformowania i dezintegrowania opozycji przez SB było też wtedy wytwarzanie i wprowadzanie do obiegu własnych ulotek oraz czasopism, sygnowanych nazwami niezależnych organizacji opozycyjnych, tj. tzw. fałszywek. W chwili obecnej brak szczegółowych opracowań w tym zakresie, jednak znane przypadki nie zawsze były trafnie rozpoznawane przez działaczy „Solidarności".

W październiku 1982 r. rozpoczął się proces zwalniania z odbywania kary pozbawienia wolności kolejnych grup osób internowanych na początku stanu wojennego, a wkrótce po Lechu Wałęsie ostatni regionalni przywódcy opozycji powrócili do domów. W tym czasie, na przełomie października i listopada, w lokalnych pismach podziemnych ukazywały się informacje zapowiadające nowy program działania grup opozycyjnych oraz powołanie grupy konkurencyjnej w stosunku do kierownictwa „Solidarności" pod nazwą Międzyzakładowy Komitet Organizacyjny „Soli-

darność". Uzasadnieniem dla utworzenia nowej organizacji miała być konieczność opracowania nowych strategii w związku ze zmieniającą się sytuacją polityczną. Już wkrótce, bo w połowie listopada, wydano pierwszy numer pisma sygnowanego przez tę strukturę, zatytułowanego „Bez dyktatu". Ta ponadregionalna organizacja została wykreowana przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa we wrześniu 1982 r., a na jej czele stanął jeden z głównych twórców Ogólnopolskiego Komitetu Organizacyjnego – Andrzej Konarski, który, w odróżnieniu od Eugeniusza Szumiejki, nie podporządkował się Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. 12 października 1982 r. zastępca szefa SB MSW gen. Czesław Wiejak poinformował swoich odpowiedników w poszczególnych województwach o nowej strukturze „Solidarności": „W kierownictwie MKO posiadamy osobowe źródło informacji, co umożliwia naszej służbie wprowadzenie w jej szeregi dalszych osobowych źródeł informacji, celem systematycznego prowadzenia kontroli i ustalania zasięgu działań, doprowadzenia do przejęcia wpływów i inicjatywy na istniejące i nowo powstające grupy podziemia, a w perspektywie dla podporządkowania sobie podziemnych struktur oraz ustalania inspiratorów i organizatorów nielegalnej działalności". Koordynację i bezpośredni nadzór nad tym przedsięwzięciem gen. Wiejak powierzył Biuru Studiów MSW. Osoby związane z MKO „S" nawiązały kontakt w Szczecinie z funkcjonującymi w osobnych grupach opozycyjnych Franciszkiem Skwierczyńskim (TW „Kamil") i Ryszardem Bogaczem. Skwierczyński był następnie inspiratorem zamieszczania koncepcji MKO „S" w szczecińskiej „bibule" (m.in. w „Prolecie" i „KOS-ie"), natomiast Ryszard Bogacz, członek Prezydium Komisji Krajowej z 1981 r., wszedł do władz MKO „S", reprezentując region Pomorza Zachodniego. Publikował on swoje artykuły na łamach organu prasowego MKO „Bez dyktatu", podpisując je pseudonimem Hektor. Działacze nowej organizacji pretendującej do przewodzenia opozycji w Polsce przyjęli oczywiście ugodowy kierunek w stosunku do władz państwowych, a po wydaniu 10 numerów „Bez dyktatu" (i po ogłoszeniu amnestii z 23 lipca 1983 r.) postanowili ujawnić swoją działalność. W gronie ujawniających działalność było trzech przedstawicieli Grupy Roboczej MKO „S": Ryszard Bogacz, Andrzej Mazur z Łodzi (TW „Wacław") i Jerzy Nowak z Poznania. W wydanym oświadczeniu ujawniający się działacze stwierdzali: „nie rezygnujemy z dalszych działań jawnych na rzecz dialogu i ugody narodowej w duchu porozumień sierpniowych", które to oświadczenie przekazali nawet ówczesnemu Ministrowi Sprawiedliwości.

Za kolejny przykład kreowania „fałszywek" na gruncie szczecińskim uznać można wydawanie pisma „Informacje Bieżące", ukazującego się w latach 1983-1987. Wydawcą tego pisma był Zbigniew Chendoszko, współdziałający z „lewicową" częścią szczecińskiej „Solidarności", a także z warszawskim MRK„S"-em, agent bezpieki o pseudonimie „Jerzy Adamczyk". Analiza tekstów ukazujących się na łamach tego biuletynu wskazuje, iż Służba Bezpieczeństwa wielokrotnie korzystała z jego łamów, aby dezintegrować poczynania opozycji.

W 1987 r. naczelnik Wydziału V WUSW w Szczecinie ppłk Sławomir Sokołowski pisał: „jako płaszczyznę walki z opozycją wykorzystano prasę podziemną, gdzie środkami operacyjnymi spowodowano zamieszczenie artykułów wywołujących dalszą polemikę oraz konflikty personalne i grupowe. Powyższa sytuacja doprowadziła do wieloczłonowego rozbicia tutejszego środowiska opozycji, osłabiła jego prężność działania, obniżyła autorytet przywódców". Szczecińska bezpieka wykorzystywała „bibułę" do dezintegracji poszczególnych struktur opozycji, co znajdowało szczególne odniesienie do konfliktu pomiędzy liderami szczecińskiej „Solidarności", umiejętnie podsycanego przez SB, która wykorzystywała w tym celu „Orła Białego", pismo Krajowego Porozumienia Zakładów Pracy – organizacji nawiązującej do działalności samorządu pracowniczego lansowanego przez „Sieć" w okresie przed wprowadzeniem stanu wojennego. W piątym numerze tego pisma, wydanego w 1988 roku, ulokowano artykuł „I co dalej", w którym szeroko opisano konflikt związkowy pomiędzy dwoma liderami. Autorstwo tego artykułu przypisano redakcji niezależnego miesięcznika „Obraz". Posługiwano się również fałszywymi ulotkami, które rozsyłano pocztą, np.; w lutym 1988 r. działacze „Solidarności" otrzymali drogą pocztową fałszywe dokumenty sygnowane rzekomo przez Radę Koordynacyjną, której przewodził Andrzej Milczanowski. Ulotki w agresywny sposób dezawuowały działaczy opozycji związanych z Marianem Jurczykiem.

Pomimo przeciwdziałania ze strony Służby Bezpieczeństwa, znużenia działalnością opozycyjną, w tym wydawniczą, przez poszczególne środowiska opozycji aktywne przez cały okres po wprowadzeniu stanu wojennego, liczba tytułów bezdebitowych ukazujących się w Szczecinie rosła, doskonalono technikę jej wydawania oraz poszerzano nakłady. „Bibuła" była ważnym elementem walki o wolną i demokratyczną Polskę.

Artur Kubaj

„Ducha nie gaście”

Wśród tysięcy podziemnych pism, które zasypały Polskę zaraz po wprowadzeniu w grudniu 1981 roku stanu wojennego i później, w całej dekadzie lat 80-tych, są tytuły o tak różnym czasie edycji, zasięgu czytelniczym, poziomie merytorycznym, że sprowadzanie ich do jednej kategorii „prasy podziemnej” byłoby niesprawiedliwym zubożeniem pełnego barw obrazu oporu przeciwko komunie. Dziś najlepiej pamięta się pisma, które miały ambicje być pismami programowymi, zamieszczały treści dotyczące świata „wielkiej polityki” i w mniejszym czy większym stopniu starały się ustawiać drogowskazy walki z ustrojem – nawet jeśli cele tej walki wydawały się odległe i niezbyt realne – jak warszawskie pisma „Tygodnik Mazowsze” czy „Kos”, krakowska „Arka”, szczeciński „Obraz”. O innych mało się mówi. A przecież gdyby policzyć ich tytuły, nakłady, czytelników, to okazałoby się, że to one właśnie stanowiły główny nurt, którym płynęły informacje i idee, i to one w największym stopniu dźwigały na sobie ciężar oporu społecznego.

Patrząc z perspektywy trzydziestu lat i dysponując dzisiejszymi możliwościami przekazywania informacji oraz środkami technicznymi, nie sposób się nie zdumiewać, że te drukowane prymitywną techniką na byle jakim – takim, jaki udało się „skombinować” – papierze, słabo czytelne pisma miały tylu czytelników i taką siłę oddziaływania. Dziś byle ulotka reklamowa ma bez porównania lepszą grafikę, druk i papier, niekiedy jest małym dziełem sztuki i mimo to najczęściej ląduje w koszu bez przeczytania. Podziemna bibuła była przekazywana z rąk do rąk i skrupulatnie czytana, przeważnie nie przez jedną osobę. Cieszyła się też stuprocentową wiarygodnością.

W Szczecinie prawie wszystkie duże zakłady pracy miały własne podziemne wydawnictwa: Stocznia Szczecińska, komunikacja miejska, port; niektóre zakładowe struktury „Solidarności” łączyły swoje siły, wydając jedno pismo, inne środowiska i organizacje niepodległościowe miały własne wydawnictwa. Pisma te skupiały się najczęściej na problemach swojego środowiska, sprawami krajowymi zajmując się o tyle, o ile były one w zasięgu zainteresowań redaktorów lub wiązały się ze sprawami środowiskowymi czy zawodowymi.

Służba Bezpieczeństwa zaciekle tropiła te pisma. Mechanizm ich antyustrojowego oddziaływania był dość prosty. Informacja o tym, że kierownik bazy wyniósł kanister paliwa, podważała fundamenty ustroju bynajmniej nie dlatego, że paliwo to było potrzebne do podtrzymania płomienia socjalistycznej rewolucji, tylko dlatego, że kierownik był nim z nominacji partii komunistycznej, a więc był „ich” człowiekiem. Wniosek prosty: „ich” ludzie to kombinatorzy, partia to klika, władza jest do odrzucenia. Ujawnianie w każdym numerze tolerowanych kradzieży, nadużyć ze strony przełożonych, nierównego traktowania różnych kategorii – partyjnych i bezpartyjnych – pracowników, represji wobec zakonspirowanych związkowców „Solidarności” – wszystko to tworzyło klimat permanentnego oporu wobec władzy. Tłumionego, ale kto wie jak długo…

Miały te pisma jeszcze jedną denerwującą dla bezpieki właściwość. Były dowodem na to, że struktury „Solidarności”, chociaż osłabione i okaleczone, wciąż istnieją. Mają swoich liderów, mają sympatyków, są w stanie generować działania świadczące o społecznym oporze: obchody rocznic, protesty, upominanie się o prawa pracownicze. W rzeczywistości bowiem wokół redakcji pism skupiali się najaktywniejsi działacze podziemnej „Solidarności”, a często to oni byli jednocześnie i redaktorami, i drukarzami.

Przede wszystkim jednak prasa podziemna zaspokajała ogromny głód informacji. W ściśle cenzurowanych środkach przekazu informacje o „Solidarności” sprowadzały się do rzadkich, krótkich wzmianek o procesach i wyrokach na jej działaczy. Ale jak wyglądały te procesy można było dowiedzieć się dopiero z solidarnościowych biuletynów. Podobnie jak o innych wydarzeniach, starannie przez rządowo-partyjne media przemilczanych, jak na przykład pobicie internowanych w Wierzchowie. Dla czytelników podziemnych pism wszystko w ich treści było ważne, nawet drobne konflikty i utarczki w zakładach pracy, bo wszystko składało się na obraz otaczającej ich rzeczywistości. Było też świadectwem trwania drugiego – obok oficjalnego, w którym nie było miejsca na opozycję wobec władzy – nurtu życia społecznego, wyrażającego, ale i kształtującego powszechne odczucia. Na miejsce pism, które swój żywot kończyły po kilku numerach, powstawały inne, aresztowanych drukarzy i kolporterów zastępowali nowi ludzie.

Nieżyjący już Mieczysław Lisowski, wybitny działacz solidarnościowego podziemia, wspominał, że po wydaniu każdego numeru „Termita” wczesnym rankiem rozwoził egzemplarze pisma na pętle tramwajowe i autobusowe i rozkładał w pojazdach. Trafiały one do rąk ludzi przypadkowych, często nigdy wcześniej niemających kontaktu z prasą podziemną, niezainteresowanych wewnętrznymi sprawami załóg komunikacji miejskiej. Dlaczego tak robił? Żeby dać znać, że „Solidarność” mimo wszystko jest i działa. I żeby przynajmniej w niektórych obudzić ciekawość i podtrzymać ducha.

Takimi właśnie środkami, odpowiednimi dla czasów i okoliczności, realizowane było uniwersalne wezwanie Apostoła św. Pawła: „Ducha nie gaście”.

Niesprawiedliwe byłoby wystawianie podziemnym pismom cenzurek, ocenianie ich zawartości informacyjnej czy merytorycznej według dzisiejszych kryteriów. Konspiracyjne warunki z jednej strony nakładały na nie zrozumiałe ograniczenia w dziedzinie dostępu do informacji, z drugiej – dawały im swobodę nieskrępowanego wyrażania poglądów i oceniania politycznych przeciwników. Można mówić o lepszym

czy gorszym dostępie do informacji, w tym do liderów podziemnych struktur „Solidarności". Wśród szczecińskiej bibuły niewątpliwie uprzywilejowaną pozycję miały „Grot" i „Termit" – pisma blisko związane z Radą Koordynacyjną i Andrzejem Milczanowskim, który nią kierował. Na ich łamach pojawiły się pierwsze informacje o komitetach „Solidarności", których zakładanie – na mocy wciąż obowiązującej ustawy o związkach zawodowych – zaproponował Stanisław Możejko. Metodą kręgów na wodzie informacje o tej inicjatywie rozchodziły się w całej prasie podziemnej i w strukturach „Solidarności", przynosząc w końcowym efekcie sukces.

Na łamach szczecińskiej prasy podziemnej zaznaczył się też konflikt między dwoma nurtami podziemnej „Solidarności". Jeden z nich, którego strategię można by określić jako trwanie na pozycjach z roku 1981, reprezentowany był przez Mariana Jurczyka, Stanisława Wądołowskiego, Stanisława Kocjana, którzy powoływali się na swój mandat uzyskany w pierwszych i jedynych wyborach, jakie się w „Solidarności" odbyły. Drugi nurt stworzyli działacze, którzy albo nie mieli mandatu z 1981 roku, jak Andrzej Milczanowski, albo się nań nie powoływali. Ich strategią było tworzenie nowych struktur związkowych, organizowanie strajków i akcji protestacyjnych i dążenie do zalegalizowania „Solidarności". Można wyrazić zdziwienie, że konflikt ten, poza sporadycznymi publikacjami, nie przybrał w szczecińskiej prasie podziemnej bardziej ostrych form – wszak to właśnie w Szczecinie powstała krajowa centrala „Solidarności 80" z Marianem Jurczykiem na czele, opozycyjna wobec odnowionej „Solidarności" Lecha Wałęsy. Nurt pragmatyczny, który stawiał na uwzględnienie realiów politycznych, pod koniec lat 80-tych miał za sobą poparcie prawie całej podziemnej prasy solidarnościowej i okazał się skuteczny w działaniu. Tym samym wezwanie Apostoła Narodów, które przyświecało działalności prasy podziemnej „Ducha nie gaście..." otrzymało swoje – całkiem oczywiście nieuprawnione – uzupełnienie: „...i wykorzystujcie okazję".

Tomasz Zieliński

Wierzchowo Pomorskie

Sobota, dnia 13 lutego 1982 r. druga „miesięcznica" wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. W obozie dla internowanych w Wierzchowie Pomorskim dzień ten był inny już od samego rana. Około godziny 10 rano do Komendanta Obozu mjr GADOMSKIEGO /zwanego przez więźniów „Katem z Czarnego" za krwawe stłumienie latem ubiegłego roku buntu skazanych w więzieniu w Czarnym/ wezwano na rozmowę kilku internowanych koszalinian z celi nr 10 /oni to bowiem kilka dni wcześniej odkryli pierwsi w swojej celi zainstalowane urządzenia podsłuchowe/. Mjr Gadomski [...] dał popis wulgarności wyraźnie prowokując więźniów. Wezwani koszalinianie nie dali się jednak sprowokować, jedynie p. ŚLIWINSKI pozwolił sobie na kila słów repliki. Kosztowało go to natychmiast - siedem dni izolatki!

Wyjątkowość dnia podkreślały także inne zjawiska: wzmocniona obsada żołnierzy na wieżach strażniczych, podwójny nadzór strażników przy wydawaniu posiłków, ale przede wszystkim uwagi por. Sikorskiego, por. JANKOWIAKA - „wychowawców" internowanych, którzy zapowiedzieli: „to jeszcze nic, większe atrakcje czekają was po południu". Konkretne przygotowania do tych „atrakcji" dały się zauważyć o 17.30, kiedy to na korytarzu rozciągnięto wąż strażacki i podłączono go do hydrantu, a na korytarzu słychać było głosy licznie zgromadzonej „służby więziennej".

Około godz. 18-tej do celi wchodzili oddziałowi, za którymi widać było funkcjonariuszy w pełnym rynsztunku bojowym /z tarczami, pałami i w kaskach/. Oddziałowi wezwali do starcia ze ścian cel napisów domagających się przestrzegania regulaminu dla internowanych. Internowani starli napisy.

Z celi nr 10 został wywołany p. ŚLIWIŃ-

SKI, który wychodzi na korytarz w przekonaniu, że zostanie przeniesiony do izolatki, na którą został skazany rano przez mjr. GADOMSKIEGO. Okazuje się jednak, że jest to początek orgii oprawców, którzy rzucają się na niego bijąc go pałami po całym ciele i po głowie. Śliwiński zasłaniając głowę rękoma krzyczy: „Za co mnie bijecie? O Jezu!". W celach na te krzyki i odgłosy bicia internowani rozpoczynają protestacyjne uderzenia w metalowe naczynia, na co oprawcy /wyglądali na pijanych/ wpadają do celi nr 7 i z okrzykami „wy skurwysyny, my was nauczymy porządku", „bić w łeb", „wy chuje wałęsowskie, przez was do domu nie pojechaliśmy" - rozpoczynają bicie i wywlekanie internowanych na korytarz. Tu dopiero rozpoczyna się zabawa na całego. Wśród szpaleru kilkudziesięciu rozwścieczonych funkcjonariuszy więziennych kilku internowanych kopanych i bitych długimi pałkami i uderzeniami pięści odbywa tzw. „ścieżkę zdrowia". Trasa ścież-

ki jest długa, dwa kilkudziesięciometrowe korytarze, a następnie 300-metrowy odcinek przez podwórze pomiędzy pawilonem nr I a pawilonem nr 5, gdzie na końcu skatowanych wpędza się do izolatek.

Warto dodać, że w akcji brali także udział żołnierze rezerwy, których w ilości ponad 40-tu powołano do wojska z pobliskiego Złocieńca. Żołnierze jednak nie brali bezpośrednio udziału w biciu, a stanowili jedynie „obstawę" biegnąc na początku i na końcu szpaleru tworzącego „ścieżkę". W analogiczny sposób rozprawiano się z pozostałymi „wyróżnionymi" /np. z celą nr 20/.

O godz. 21.30 do celi szóstej w pawilonie nr 5, gdzie spędzono skatowanych wpada por. AMBRYSZEWSKI /zwany przez więźniów „globusem"/ dowodzący akcją „ścieżki zdrowia". W obstawie pijanych klawiszy żąda ustawienia się więźniów w szeregu i na baczność. Znowu wulgarne okrzyki i bicie pałami pod pozorem „wyprostowania" szeregu i postawy. „Gen. Jaruzelski dał nam po to pały, żebyśmy was lali", „możemy wam dać, ile nam się podoba", „idźcie do Lesia, może wam pomoże"; oprawcy w mundurach z orzełkami na czapkach prześcigali się w wulgarności i sadyzmie.

Również pozostali w pawilonie pierwszym internowani otrzymali próbkę „miesięcznicowych" atrakcji. W czasie wieczornego apelu o godz. 19-tej prostowanie szeregu w jakim ustawiają się internowani dokonywane było przy pomocy pałek i kopania. Por. AMBRYSZEWSKI pozwolił sobie jednak na niezwykłą łagodność: „ja wam skurwysyny to jeszcze daruję, ale następnym razem to zobaczycie!" Prawdopodobnie do łagodniejszego potraktowania niektórych cel przyczynił się kapral ANDRZEJ MARUSZEWSKI, który charakteryzował cele i siedzących w nich internowanych.

Całością akcji upamiętnienia daty wprowadzenia stanu wojennego w Polsce kierował w Wierzchowie najprawdopodobniej por. WRONKOWSKI z-ca komendanta ds. zabezpieczenia zakładu karnego. Wyróżniających się sadyzmem i bestialstwem było wielu funkcjonariuszy ale nie wszystkie nazwiska udało się nam ustalić. Jeden z nich - sierż. TADEUSZ NAWROCKI - chwalił się: „tym milicjantem /z ZZF MO/ Łakomskim to podłogę froterowałem". Również na szczególne wyróżnienie zasłużył jak zwykle kpr TADEUSZ JANISZEWSKI, zwany wśród klawiszy więziennych „Psychopatą".

Po apelu i zmyciu z korytarza śladów krwi /najsilniej poturbowany na korytarzu był JULIAN JÓŹWIAKOWSKI/ około godz. 21 głośno ostrzegano internowanych przed próbą śpiewania w celach /co dziennie, po zgaszeniu światła w celach śpiewano „Boże coś Polskę", „Rotę" i „Jeszcze Polska nie zginęła"/.

Około godz. 22.30 oddziałowy zaczął wzywać internowanych do lekarza więziennego celem spisania pobić. Lekarz wyglądał na zaskoczonego wydarzeniami. Oględziny lekarskie

odbywały się w obecności nieznanego cywila i kilku klawiszy. Część pobitych internowanych, bojąc się prowokacji, nie zgłaszała się do lekarza. Wielu próbowało zasnąć.

Kilku, a m. in. M. SADŁOWSKI, P. BAUMGART i H. MAKIEŁA miało następnego dnia wymioty, zawroty głowy itp. Objawy wstrząśnięcia mózgu. W niedzielę, w trakcie spaceru Z. ŁAKOMSKI zemdlał, a następnie z objawami wstrząśnięcia mózgu został odwieziony do szpitala. Warto tu dodać, że w sobotę I3.02.82 wieczorem pod bramę więzienną przyjechały dwie karetki pogotowia ze Złocieńca, lecz zostały odesłane puste.

W niedzielę, dnia I4.02 Msza św. odbyła się dopiero po długich deliberacjach /długie prośby księdza Gałeckiego, dwukrotna rozmowa telefoniczna mjra Gadomskiego z przełożonymi w Szczecinie/. Również widzenia z rodzinami odbywały się inaczej niż zwykle. Kilku odwiedzającym zonom i krewnym odmówiono widzenia w ogóle. Rozmowy odbywają się przez szeroki stół, przy którego obu końcach siedzą klawisze. Wszyscy są surowo pouczeni o zakazie jakichkolwiek skarg czy nawiązywania do wczorajszych atrakcji. Mimo to EDMUND BAŁUKA głośno mówi o pobiciu i prosi o złożenie w tej sprawie skargi. W chwile potem zostaje bestialsko na oczach córki wypchnięty, a raczej wyrzucony za drzwi. Ktoś inny

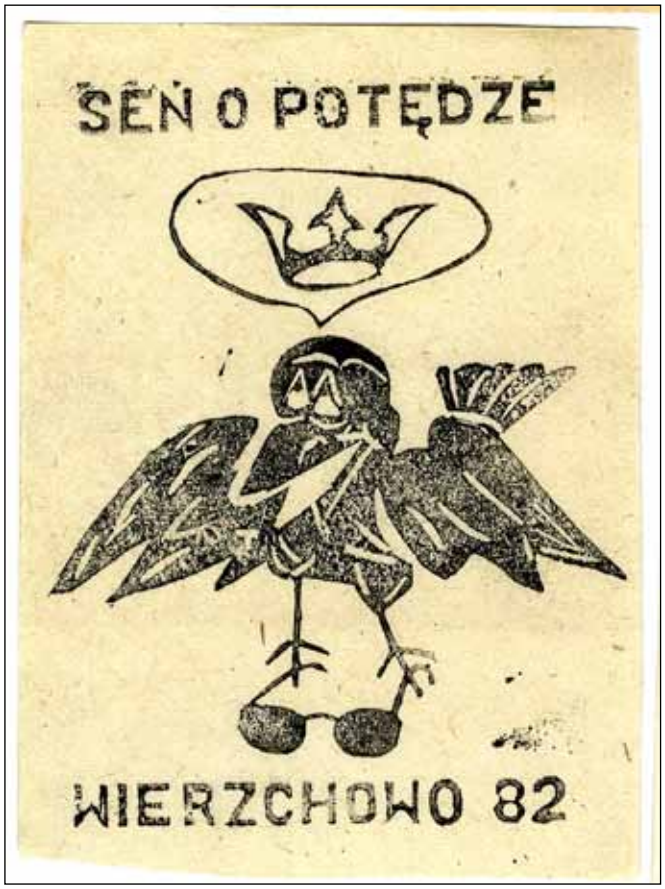

szybko pokazuje straszliwie pobite plecy. W następstwie M. KŁYSZCE przedstawia się zarzuty z art. 253 KK.

We wtorek dnia I6 lutego do Wierzchowic przybywa płk PAWLACZYK na czele z komisji z Centralnego Zarządu Zakładów Karnych i po rozmowie z głodującą od trzech dni celą nr I6 obiecuje złagodzenie rygorów. Mówi o możliwościach korzystania ze świetlicy i telewizji, a także o wszczęciu postępowania wyjaśniającego po linii służbowej sugerując jednocześnie, by internowani wycofali doniesienie do Prokuratury Wojewódzkiej w Koszalinie o przestępstwach popełnionych przez oprawców w mundurach. Podkreślić bowiem należy, że pobicia jakie zostały dokonane w dniu I3 lutego, nie były pierwszymi takimi przypadkami. W dniu I0.02 np. pijani klawisze wyciągali nocą niektórych internowanych koszalinian i bijąc ich prowadzili na przesłuchanie „prowadzone przez ppłk. FRYDRYCHOWICZA /Naczelnik Wydz. Śledczego MO w Koszalinie/ i mjr. Gadomskiego.

Panuje jednak pełne przeświadczenie, że akcje te nie dzieją się bez wiedzy i aprobaty Służb Bezpieczeństwa Szczecina i Koszalina, które decydują praktycznie o każdym drobiazgu w życiu internowanych. Znamienna jest w tej mierze wypowiedź mjr Gadomskiego „dla świata jesteście internowani, ale dla nas tymczasowo aresztowani".

[Michał Paziewski]

„Wezwanie" Niezależne Pismo Literackie, nr 2-3, V-VII I982 r.

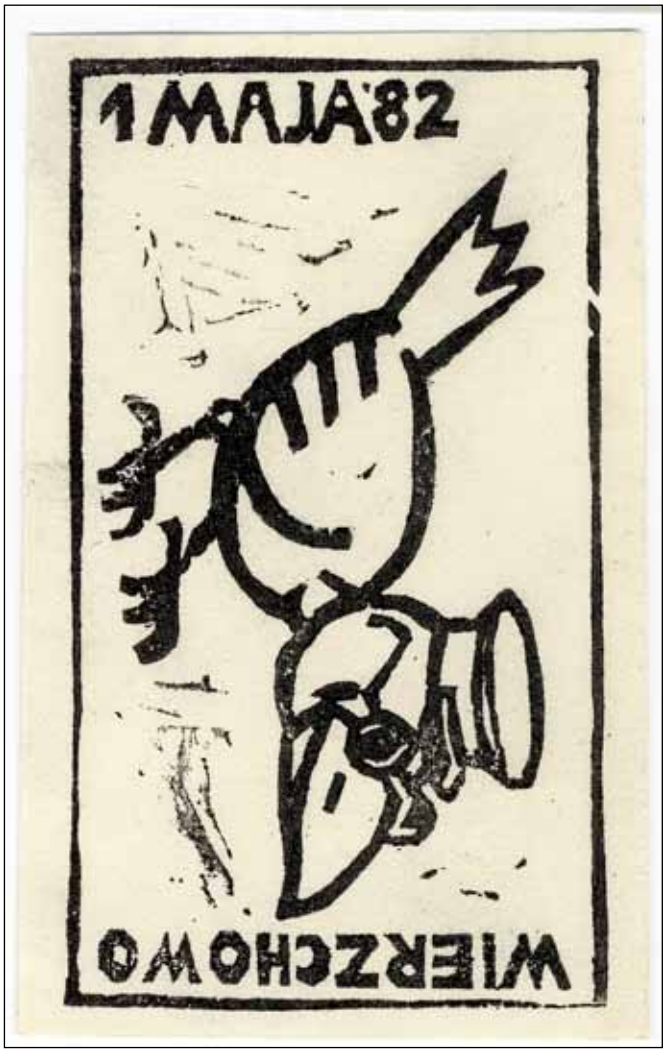

Z sali sądowej

3I maja rozpoczął się w Szczecinie proces przeciwko czterem oskarżonym: Barbarze Arsobie, odpowiadającej z wolnej stopy oraz Danucie Skibińskiej, Małgorzacie Trembilskiej i Ryszardowi Jedwabnemu, aresztowanym I6 grudnia I983 r. Akt oskarżenia zarzuca im kolportowanie wydawnictw podziemnej „S", obrazę naczelnych organów PRL i członków nowych związków, rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny, nawoływanie do bojkotu wyborów. Oskarżycielem jest prokurator Murański, bronią mecenasi: mec. Jerzy Chmura i mec. Łyczywek - ojciec (Roman) i syn (Włodzimierz). Przewodniczącym składu sędziowskiego jest sędzia Lesław Barcew.

Jako pierwsza składała wyjaśnienia Barbara Arsoba, zwolniona z aresztu po 48 godzinach i odpowiadająca z wolnej stopy. Postawa B. Arsoby jest godna pożałowania. Już w pierwszych swoich zeznaniach poważnie obciążyła pozostałych oskarżonych. W trakcie rozprawy usiłowała odwołać część swoich poprzednich zeznań, plącząc się przy tym i zaprzeczając samej sobie. B. Arsoba jest typowym, klinicznym przykładem ofiary ubeckich metod prowadzenia śledztwa. Do problemu tego wracamy w naszym „Komentarzu", który zamieszczamy poniżej.

Jako następne zeznawały Małgorzata Trembilska i Danuta Skibińska. Żadna z nich nie przyznawała się do stawianych jej zarzutów, obie miały przy tym odwagę głośno wypowiadać swoje poglądy polityczne, poparcie dla idei Solidarności i sprzeciw wobec poczynań władz. Szczególnie godną postawę wykazała Danuta Skibińska, która w śledztwie odmawiała składania zeznań, w trakcie rozprawy zaś oświadczyła, że nie ma nic do dodania. W odczytywanych następnie protokołach zeznań ze śledztwa, na wszystkie pytania padają odpowiedzi: „odmawiam udzielania odpowiedzi", „korzystam z przysługującego mi prawa odmowy zeznań" itp. W trakcie przesłuchania M. Trembilskiej. Rozprawę przerwano.

W pierwszym dniu rozprawy prokurator nie miał żadnych dodatkowych pytań do oskarżonych, obrońcy zwracali się do wszystkich trzech pan z jednym głównym pytaniem: czy mogą stwierdzić, że w czytanych przez nie wydawnictwach „S" były nieprawdziwe informacje. Wszystkie oskarżone odpowiadały na to pytanie negatywnie - nie uważają, aby informacje, jakie czytały w prasie „S" były fałszywe.

Rozprawa została wznowiona 4 czerwca. Miał składać zeznania Ryszard Jedwabny. Na pytanie sędziego Barcewa, czy zrozumiał akt oskarżenia, R. Jedwabny odpowiedział negatywnie. Poprosił o wyjaśnienie, zawartego w akcie oskarżenia sformułowania: „działając wspólnie i w porozumieniu". Domagał się uściślenia - czego ta działalność wspólna dotyczyła i na czym polegało owo porozumienie. Wyjaśnień tych jednak nie otrzymał. Sędzia Barcew poprzestał na stwierdzeniu, że akt oskarżenia sformułowany jest po polsku, więc powinien być dla oskarżonego zrozumiały. Następnie R. Jedwabny zwrócił uwagę na zawarty w akcie oskarżenia zarzut rozpowszechniania fałszywych wiadomości. Stwierdził, że nie rozumie tego zarzutu, jest on zbyt ogólnikowy, nie wynika z niego, o jakie konkretnie wiadomości chodzi, co uniemożliwia stwierdzenie czy były one prawdziwe czy też fałszywe. Wyraźnie poirytowany sędzia i tym razem nie udzielił wyjaśnień. Z wątpliwościami R. Jedwabnego zgodził się natomiast mec. J. Chmura. W odpowiedzi pan prokurator zarzucił mec. Chmurze, że nie zapoznał się z materiałem dowodowym, że wszystkie zakwestionowane wydawnictwa są do wglądu dla obrony. Sędzia Barcew przerwał tę dyskusję uwagą, że nie będzie się na rozprawie czytać nielegalnych wydawnictw i że obrona może postawić wniosek o zwrot akt do prokuratury i sporządzenie nowego aktu oskarżenia. Wówczas mec. Chmura wyjaśnił, że po otrzymaniu aktu oskarżenia i stwierdzeniu, że jest on sporządzony niezgodnie z obowiązującymi przepisami, zwrócił go prokuraturze wraz ze swoimi uwagami. Po dwóch tygodniach otrzymał akt oskarżenia identyczny jak poprzednio. Zgodził się także z wątpliwościami R. Jedwabnego, że z aktu oskarżenia nie wynika, o co jest on właściwie oskarżony. Sędzia Barcew stwierdził, że nie pozwoli na kontynuowanie tej dyskusji, że zachowanie oskarżonego R. Jedwabnego jest prowokacyjne, że powoduje on niepotrzebne zamieszanie czepiając się drobiazgów itp. Następnie przerwał rozprawę, odraczając ja do I9 czerwca.

I9 czerwca rozprawa nie mogła się odbyć, ponieważ nie dowieziono oskarżonych /R. Jedwabny przebywał w areszcie w Nowogardzie, D. Skibińska i M. Trembilska w areszcie w Kamieniu Pomorskim/. Obrońcy oskarżonych zgłosili wobec tego wniosek o uchylenie wobec aresztowanych środka zapobiegawczego w postaci aresztu tymczasowego. Motywowali to złym stanem zdrowia oskarżonych R. Jedwabnego i D. Skibińskiej, ich sytuacją rodzinną, wykazywali, że nie zachodzi obawa utrudniania przewodu sądowego przez oskarżonych. Prokurator zgłosił wniosek o odrzucenie wniosku obrony. Po krótkiej naradzie sąd przychylił się do wniosku obrony i postanowił uchylić areszt wobec trójki oskarżonych. Następną rozprawę wyznaczono na 2 lipca.

Komentarz

Proces czwórki oskarżonych zgromadził w sądzie bardzo wiele osób. To dobrze, to bardzo dobrze, bo trudno o lepszą lekcję poglądową dotyczącą mechanizmów „socjalistycznej praworządności". Dużo się można nauczyć i

wielu błędów uniknąć, gdy się w czymś takim uczestniczy. Pierwsze dwa dni rozprawy nasuwają kilka podstawowych wniosków:

I. Zanim jeszcze rozprawa się rozpoczęła, już czuło się, że wyrok zapadł, że wina oskarżonych jest sprawą przesądzoną. Przebieg rozprawy tylko coraz bardziej w tej pewności utwierdzał.

Powszechną uwagę zwrócił fakt, że Ryszard Jedwabny został przywieziony na rozprawę w więziennym drelichu. Nawet jeśli ktoś nigdy nie zetknął się z regulaminem dla tymczasowo aresztowanych, musiał zwrócić na to uwagę, tym bardziej, że czekając na rozpoczęcie rozprawy widziało się wielu oskarżonych o przestępstwa pospolite prowadzonych przed oblicze sprawiedliwości. Nie wszyscy byli nawet skuci kajdankami, wszyscy natomiast byli w swoich, „cywilnych" ubraniach. Gwoli wyjaśnienia - w praktyce naszych aresztów cywilne ubranie odbiera się tylko aresztantom podejrzanym o szczególnie ciężkie przestępstwa, gdzie przewidywana kara jest bardzo wysoka. Według regulaminu tymczasowo aresztowany otrzymuje koszulę i kalesony, jest to raczej strój do spania, gdyż wszystkie inne rzeczy wynosi się na noc na korytarz. Przez cały pobyt w areszcie podejrzanym przysługuje prawo noszenia własnej odzieży.

2. Wysoki sąd wyraźnie był niezadowolony, że na rozprawę przybyła tak duża publiczność. Sala, którą na ten cel przeznaczono był jedną z najmniejszych w gmachu sądu. Publiczność szczelnie ją wypełniła i nie reagowała na wezwania sędziego Barcewa, aby na sali pozostała tylko najbliższa rodzina oskarżonych, pozostałe osoby zaś wyszły. W końcu sędzia skapitulował i znalazła się większa sala. Kończąc pierwszy dzień rozprawy, sędzia Barcew zapowiedział, że następne będą już konsekwentnie w małych salach i wobec tego, żeby publiczność nie przychodziła, bo nie będzie wpuszczona. Po przybyciu do sądu w drugim dniu rozprawy okazało się, zmieniono wyznaczona poprzednio salę. Przybyło znacznie więcej osób, niż w pierwszym dniu. Sąd ma prawo ogłosić rozprawę przy drzwiach zamkniętych w wypadku, gdy w trakcie jej trwania istnieje potrzeba ujawnienia tajemnic państwowych, lub stawiany przed sądem oskarżony jest o szczególnie ciężkie i odrażające przestępstwo - np. gwałt, morderstwo itp. i w trakcie rozprawy muszą być ujawnione drastyczne szczegóły tego przestępstwa.

Pytanie do wysokiego sądu: dlaczego wysokiemu sądowi zależy tak bardzo na tym, aby w sprawach o przestępstwa z pobudek politycznych była możliwie jak najmniej publiczności?

Okazało się, że w naszym sądzie odwróciły się role. Rolę prokuratora całkowicie przejął na siebie sędzia L. Barcew. Odznaczył się on wyraźnie wrogim i pogardliwym stosunkiem do oskarżonych, odzywał się w sposób obraźliwy. Często też przerywał oskarżonym, szczególnie wtedy, gdy próbowali mówić o metodach śledztwa i warunkach w areszcie. Twierdził, że to nie należy do sprawy. Posuwał się nawet do krzyku. Śmiesznie brzmiały w tym kontekście jego odezwania do publiczności, groźba wyproszenia jej z Sali, gdy reagowała zbyt żywiołowo. Kto tu obraża majestat sprawiedliwości?

3. Na osobna uwagę zasługuje przypadek Barbary Arsoby. Z jej zeznań wynikało, że została zabrana z pracy, chora, z gorączką. Zamiast pomocy lekarskiej - wielogodzinne „rozmowy" z ubekami na Małopolskiej. Straszenie, szantaż, ale i obietnice zwolnienia za cenę składania zeznań, obciążenia innych. Gdzieś tam napomykano, że jeszcze obowiązuje ustawa o amnestii, wystarczy się przyznać i wszystko będzie dobrze. Dodać do tego należy szok spowodowany przetrzymaniem, warunki panujące w celi na ul. Małopolskiej. Wszystko to spowodowało, że B. Arsoba się załamała - złożyła wyczerpujące zeznania, napisała oświadczenie dotyczące jej działalności, podpisała zobowiązanie jej zaniechania. I została zwolniona. Zabrakło w tym jednej myśli - o tych, którzy również zostali zatrzymani. O tym, że kupuje się wolność ich kosztem. Czy mamy prawo potępiać B. Arsobę? Raczej chyba należy jej współczuć, że okazała się tak słaba, pozbawiona wyobraźni i poczucia odpowiedzialności. Dla nas wszystkich jej przykład powinien być przestrogą - że jeśli podejmujemy określoną działalność, trzeba się liczyć z jej ewentualnymi konsekwencjami i trzeba sobie zadać pytanie, czy się te konsekwencje wytrzyma. Trzeba zdawać sobie sprawę, że działalność konspiracyjna nie jest zabawą, którą można zaimponować znajomym, że jest to droga trudna i niebezpieczna, wyczerpująca psychicznie. I jeszcze jedno, jeśli ma się określone poglądy i wartości, w imię których się działa, to wtedy broni się ich do końca i konsekwentnie, albo się ich nie ma i wtedy szybko się wycofuje w momencie zagrożenia.

Współczujemy Barbarze, ale wreszcie czegoś się na jej przykładzie nauczmy. Tak jak przykład Danki Skibińskiej i Ryszarda Jedwabnego uczy nas postawy godnej i bezkompromisowej.

„Obecność", nr 6, 7, VI-VII, 1984 r.

Nowy dyrektor w porcie i partia

W Biuletynie z dnia I października 1986 roku klika partyjna w porcie odsłania bez ogródek cały sens polityki kadrowej. W artykule pt. „Swój czy nasz", czytamy ku naszemu zdumieniu tego rodzaju stwierdzenia, cytuję „Politykę kadrową realizujemy my. I jak to określił W. Jaruzelski - każdy z nas, członków partii tę politykę współtworzy. Bo żadna komórka kadrowa nie zastąpi podstawowej organizacji partyjnej w znajomości i ocenie

ludzi. Rekomendować najlepszych - nie „swoich" a naszych musimy sami". Koniec cytatu.

Klika partyjna powinna jedynie wyjaśnić portowcom co znaczy słowo „swoich", „naszych". Na marginesie tej haniebnej sprawy, wyjaśnimy pewne kulisy wyboru nowego dyrektora portu, który mieścił się w ich pojęciu - „Swoich". W świetle ustaw sejmowych o przedsiębiorstwie państwowym i o samorządzie załogi, dyrektora powołuje rada pracownicza bądź organ założycielski. Gdyby nie pewne skojarzenia z lat poprzednich nie poruszałbym tego tematu, ale sytuacja zmusiła mnie do tego.

Trochę historii. Dnia 30 października 1981 roku wysłany został teleks następującej treści: „Wyrażając opinię Zespołu Inicjatywnego ds. Samorządu Pracowniczego w Zespole Portowym Szczecin - Świnoujście prosimy o natychmiastową decyzję w sprawie obsadzenia stanowiska dyrektora naczelnego. Jednocześnie dodajemy, że kandydatura na to stanowisko, mgr inż. Jana Więcława była już omawiana i akceptowana w obecności Czesława Kosedy. Nasze stanowisko jest zgodne z wolą załogi". Teleks podpisał Dariusz Jasiński i I sekretarz KZ PZPR Zdzisław Lisiecki. Tyle historia.

Ostatnio w „Głosie Szczecińskim" podano do wiadomości, że KW PZPR zarekomendowała kierownikowi Urzędu Gospodarki Morskiej byłego „długoletniego" pracownika portu, Jana Więcława, na stanowisko naczelnego dyrektora. (Oczywiście po zakończeniu konkursu). Dziwi jedynie fakt, że tak długo musiał czekać J. Więcław na nominację dyrektora portu, ponieważ od daty 30 października 1981 roku, do daty 30 października 1986 roku upłynęło mnóstwo czasu. Dziwi również wszystkich pamiętających te wydarzenia manipulowane przez partię, że J. Więcław posiadał odwagę kandydowania na dyrektora. Myślę, że był na tyle pewny, że partia będzie pamiętała poprzednią rekomendację z roku 1981.

Przed konkursem utworzyły się dwa obozy. Pierwszy utworzył I sekretarz Bobek, który agitował członków partii z komisji konkursowej by głosowali na Pundyka, ponieważ jego ewentualny awans otwierał wrota dla Bobka, który w pionie inwestycyjnym piastuje drugorzędną funkcję. Drugi obóz utworzył członek KZ Cichecki, który agitował do głosowania na J. Więcława.

„CDN", nr 50, 27 X 1986 r.

Co słychać w WPKM Szczecin?

Złodziej pod ochroną

Kierownik CPN na zajezdni Klonowica - Edward Knajzler został złapany przez strażniczkę WPKM na wynoszeniu kradzionej benzyny (dwa pojemniki po 30 l.) przez płot. Tłumaczył się, że szukał benzyny która zaginęła z CPN. Do pracy już się nie stawił - wziął urlop, a później zwolnienie lekarskie na opiekę nad chorą żoną. Afera jest wyraźnie tuszowana, pracownicy oburzeni - jak „robola" złapią z drobiazgiem wziętym ze złomu - to traktuje się go jak złodzieja, a że tu kierownik, to sprawę się tuszuje. Kierowników nawet się nie sprawdza przy wyjściu, tylko zwykłych pracowników można rewidować - przecież ludzie to widzą na co dzień, zwłaszcza wobec pazerności niektórych przełożonych na dobra będące w magazynach.

Dyrektorze Anczykowski, może pamiętacie tego pracownika z zajezdni Pogodno złapanego z prętami metalowymi ze złomu - jego zwolnieniście dyscyplinarnie mówiąc, że ze złodziejami nie będziecie rozmawiać? A z Knajznerem rozmawiacie i oczywiście nie ma mowy o zwolnieniu dyscyplinarnym. Jak można być tak fałszywym i obłudnym. Od pewnego czasu dyrektor Anczykowski przebywa stale na zwolnieniu lekarskim, tylko jak jest coś bardzo ważnego, to zjawia się w firmie, np. pochód I majowy czy inna galówka. Ale choroba nie przeszkadza mu w pracy na działce na „Skarbówku", do kościoła też regularnie uczęszcza, okien nie udekorował na przyjazd Ojca Świętego na wszelki wypadek - klasyczna dychotomia - tu ogarek, tam świeczka. Chodzą słuchy, że Anczykowski odchodzi z dyrektora, a na jego miejsce Edward Zając ma objąć stołek.

Mały „Samiuchin"

Przewodniczący Rady Pracowniczej WPKM - Zygmułka, idzie w ślady CRZZ-towskiego Samiuchina, po Sierpniu '80 wykopanego z hukiem i ujawnieniem licznych drobnych kantów. Zygmułka próbował zostać przewodniczącym ZMS, już prawie miał zaklepane stanowisko, ale akurat wybuchł Sierpień '80, ZMS rozleciał się, a Zygmułka musiał wrócić jako zwykły mechanik na pogotowie techniczne. Po stanie wojennym załapał się na przewodniczącego rady pracowniczej, gdzie dobrze kwiatki podlewał dyrektorowi, często widziano go na mieście z dyrektorami w stanie alkoholowego upojenia. Teraz dorabia się biura, w salce konduktorskiej przy kasie murują mu pomieszczenie biurowe na dwa pokoje. Myśli chyba że to już do końca życia. Tak to system demoralizuje słabych ludzi, bo dla załogi WPKM-u Zygmułka nie zrobił nic dobrego, sobie tylko zapewnił stołek.

Z parasolem do szatni

Stan dachów w WPKM we wszystkich zajezdniach jest rozpaczliwy. Dąbie, Police, Klonowica - po każdym deszczu woda zalewa pomieszczenia nie wybierając - magazyn, szatnia, warsztat, toaleta. Niszczeją mury, majątek przedsiębiorstwa, porozstawiane miski, płachty, do ubikacji trzeba iść z parasolem

bo woda leje się na głowę i tak trwa sytuacja latami. Niby coś tam na dachu porobią - do najbliższego deszczu - znowu woda leje się na głowę. Może pokryć dachy strzechą -? Ta jest niezawodna.

Zrabowane godziny pracy

Pracownicy WPKM w Szczecinie, mający staż poniżej I0 lat, są stratni przez zwolnienia lekarskie nie tylko z powodu wypłaty „chorobowego" w wysokości 75 proc. płacy, lecz też w wypadkach, gdy do lekarza idą po przepracowaniu kilku godzin pracy, zwłaszcza motorniczowie i kierowcy. Pracując systemem „łamanym", rozpoczyna pracę rano już o godz. 3-4, pracuje do godz. 8-9 rano i ma przerwę w pracy, do godziny I2-I3. W czasie pracy może poczuć się chory, czy nie mając pewności czy dostanie zwolnienie od lekarza, nie idzie z rana do przychodni w ogonek chorych, tylko po przepracowaniu kilku godzin, w czasie wolnym od pracy, idzie do lekarza.. i dostaje zwolnienie lekarskie włącznie z dniem dzisiejszym. Tym samym godziny pracy ranne - ma nie zapłacone, bo dostaje tylko 75 proc. zarobku za średnie osiem godzin. A przecież rano pracował już 5-6 godzin, tak że logicznie myśląc - powinien mieć za te godziny normalnie zapłacone, zaś 75 proc. dopiero za godziny nieprzepracowane jako zwolnienie lekarskie. Dział zarobkowy argumentuje bezczelnie „że nie będzie sobie utrudniał pracy dodatkowymi obliczeniami" i tym samym godziny pracy idą w zyski nadzwyczajne firmy, a ludzi krew zalewa na złodziejstwo - zakładu pracy.

Obywatele drugiej kategorii

Związki zawodowe załatwiły (zakupiły za pieniądze wypracowane przez całą załogę) zniżkowe bilety do cyrku dla swoich członków. Obywatele drugiej kategorii mają tylko pracować, odpisy z funduszy socjalnych nie dla nich, samorząd też milczy na jawną grandę - widocznie jest zaabsorbowany budową biura dla Zygmułki.

Brawo Zajezdnia Dąbie

Dobrze działa komórka „Solidarności" w Dąbiu (WPKM). Obficie zaopatrzona w prasę związkową z całego Regionu, częste akcje ulotowe na terenie, tak że SB już znudziło się przyjeżdżać - wysyłają MO. Są w obiegu książki, znaczki, plakietki do wyboru.

„Termit", nr 20, 2 VII I987 r.

Co u nas słychać?

Po ostatniej podwyżce cen miały miejsce krótkie strajki: w Stoczni „Odra" i SPBO nr 2. 3I marca I987 roku rano nie wyjechało na budowę 47 kierowców z SPBO nr 2. W związku z wprowadzeniem podwyżek cen zażądali oni podwyżki płac. Kierownictwo zakładu zaproponowało by protestujący podjęli na razie pracę, a dyrektor da odpowiedź po przeanalizowaniu sytuacji finansowej. W czwartek, dwa dni później, dyr. nacz. Gapiński spotkał się z pracownikami działu transportu i obiecał średnio po 2 tys. zł podwyżki po sporządzeniu bilansu i dobrych wynikach przedsiębiorstwa.

Pozytywnie oceniamy postawę kierowców SPBO nr 2, jednak efekty to tylko obiecanki. Należy konsekwentnie żądać podwyżki płac, lecz muszą to robić wszyscy ci, którzy już odczuli na własnej skórze działanie nowych cen. A przecież nie ma takich, którzy byliby zadowoleni.

W SPBO nr 2. w miesiącu kwietniu, wypłacono nagrodę z zysku w wysokości 5,65 proc. rocznego zarobku. Wysokość nagrody oraz sposób, w jaki powiadomiono załogę spotkał się z powszechnym oburzeniem. Nikt nie wiedział do dnia zapłaty jaką kwotę otrzyma, gdyż w ogóle nie wywieszono list. Dopiero w dniu wypłacenia, biegiem wieszano zawiadomienia na budowach o wysokości zysku i jego podziale, bez akceptacji Rady Pracowniczej, jedynie z podpisem dyrektora. Na nagrody indywidualne przeznaczono ponad I7 mln zł. Listy płac opiewały na I6 mln zł. Gdzie I mln? - pracownicy nie wiedzą. Na znak protestu, przeciw tak niskiej nagrodzie i lekceważącym sposobie informowania stanęli pracownicy „Gryfbetu" i budowy w Gryfinie. Część pracowników początkowo nie chciała pobierać nagrody, zadając pytanie: jak to się stało, że przy solidnej pracy przedsiębiorstwo, które szczyciło się być jednym z najlepszych w województwie uzyskało taki żebraczy efekt?

„Ogniwo", nr 5/I987 r.

Składałem przysięgę

[rozmowa z Marianem Jurczykiem]

P. Na kilka dni przed I3 grudnia wiele zakładów w regionie deklarowało, że jeśli rząd zastosuje ustawę wyjątkową, podejmą strajk generalny. Niestety, I3-go tylko „Warski" oraz kilka mniejszych zakładów zastrajkowało. Jak sądzisz, dlaczego?

O. Wydaje mi się, że społeczeństwo do takiej sytuacji, jaka nastąpiła I3 grudnia, nie było przygotowane. Trzeba tu powiedzieć uczciwie - nie potrafiliśmy zmobilizować społeczeństwa do takiej sytuacji.

P. Myślisz, że dzisiaj wyglądałoby to inaczej, gdyby zakłady podjęły deklarowane przez siebie akcje strajkowe?

O. Na pewno byłoby inaczej, gdyby po prostu zakłady stanęły w 80 %. Trudno powiedzieć, czy rząd zdobyłby się wtedy na tak drastyczne kroki i niszczył ludzi, czy siadłby do stołu obrad.

P. Nie było Ciebie wśród nas prawie 3 lata. Jak znajdujesz więc region?

O. Uważam, że specjalnie nie odbiega od pozostałych. Nie znaczy to, że się równamy np. z Wrocławiem, Warszawą czy Krakowem. Składa się na to wiele przyczyn. Miasta te maja więcej mieszkańców, uniwersytety. Sądzę jednak, że na pewno za pewien czas w jakiś sposób zbliżymy się do tego, co jest u nich.

P. Mówiono mi, że dla sprawnego funkcjonowania struktur potrzebny jest autorytet, np.. Mariana Jurczyka.

O. Być może, ale ja nie mogę oceniać czy rzeczywiście wypracowałem sobie taki autorytet. Kiedy zostałem wybrany przewodniczącym regionu, składałem przysięgę na godło i wizerunek Matki Boskiej. Ta przysięga obowiązywała mnie nie tylko w trakcie mej pracy, ale też podczas internowania, więzienia i do dziś mnie ona obowiązuje. Nikt mnie z tego nie zwolnił. Przysięga ta jest dla mnie świętością. Ja jej nigdy nie zdradzę. Jeżeli zdradzę tę przysięgę, to zdradzę i ludzi.

P. Działania i sukcesy regionu tylko w niewielkim stopniu wiążą się ze sprawami warunków i czasu pracy. Czy nie sądzisz, że powinniśmy bardziej konsekwentnie powrócić do realizacji niektórych uchwał I Zjazdu?

O. Sytuacja dziś bardzo odbiega od czasu, kiedy był Zjazd w Oliwii. W tej chwili sprawą podstawową jest walka o poszanowanie godności i prawa do poczucia bezpieczeństwa dla każdego z nas, żeby każdy z nas czuł się wolnym człowiekiem w swoim kraju.

P. Jak więc sądzisz - jakie formy obecnie powinna przybrać nasza walka o ludzką godność?

O. Sądzę, że dziś wyjść na ulice, przed zakład pracy i krzyknąć dwa czy trzy zdania, a potem trafić do więzienia - to nie tędy droga. Chodzi o to, aby być wśród ludzi i dla tych ludzi działać. W zakładzie swoje poglądy mamy prawo, a nawet obowiązek wypowiadać. Dziś ludzie wiedzą jak trzeba postępować, niemniej działacz szczebla regionalnego powinien w jakiś sposób dodać otuchy, dodać wiary, że w dalszym ciągu dąży do realizacji celów, jakie załoga stawia przed sobą.

P. Coraz częściej daje się słyszeć, że są w tej chwili prowadzone rozmowy między Episkopatem a rządem w sprawie przywrócenia pluralizmu związkowego. Czy uważasz, że jest to możliwe? Czy w ogóle porozumienie z komunistami jest możliwe?

O. Według mojej oceny nie jest to możliwe. Rząd jak dotychczas rozmawiał tylko wtedy, kiedy się bał. Wtedy podpisywał takie czy inne deklaracje i umowy. I to było wszystko. Ja osobiście obecnej władzy nie wierzę.

Rozmawiał: Maks [Mateusz Wyrwich]

„Tygodnik Wojenny", nr 99, 5 XII 1984 r.

Punkt ciężkości

Rozmowa z ANDRZEJEM MILCZANOWSKIM, członkiem Krajowej Komisji Wykonawczej, przeprowadzona w ramach prac Komitetu Helsińskiego w Polsce.

Anna [Aleksandra Ciechanowicz-Sarata]: Jest Pan jednym z animatorów ruchu zakładowych komitetów założycielskich „S"?

A[ndrzej] M[ilczanowski]: W jakimś sensie, jestem animatorem, natomiast pomysłodawcą i głównym realizatorem akcji jest Staszek Możejko ze Świnoujścia. O sytuacji w Polsce chcę mówić z pozycji amatora i życzę sobie, aby tak tę wypowiedź traktować. Widzę ogromną złożoność sytuacji i to po obu stronach, zarówno po stronie władzy, jak i opozycji. Sądzę, że w niedalekiej przyszłości niewiele zmieni się po stronie władzy. Martwi mnie, że niekorzystne zjawiska dają się również zaobserwować po naszej stronie. W „Solidarności" daje się zauważyć proces rozpadu. Wydaje mi się również, że pewne inicjatywy opozycyjne w jakimś stopniu realizują się kosztem „Solidarności". Jako związkowiec dostrzegam to niebezpieczeństwo.

Anna: Czy może Pan powiedzieć jaśniej o zagrożeniach?

A. M.: Nie chcę mówić o szczegółach. Aczkolwiek myślę, że wyraziłem się jasno. Znajdzie się wielu działaczy, którzy powiedzą, że różnorodność form opozycyjnej działalności, to właśnie to. W teorii jest to prawda, ale w praktyce życia społeczno-politycznego jest to błąd. Związek jest w ciężkim kryzysie i nie powinno się go dodatkowo obciążać

Anna: Co należy czynić, by wyjść z kryzysu?

A. M.: Konkretną szansę dostrzegam w komitetach. W przypadku umasowienia akcji rejestracyjnej, zaczniemy działać legalnie. Działanie legalne potrzebne jest nam jak powietrze. Podziemny związek nie ma możliwości bronić interesów pracowniczych, tę prawdę trzeba sobie uzmysłowić. Wyobraźmy sobie, że członek tajnej komisji zakładowej będzie interweniował u dyrektora, ten wyrzuci go za drzwi lub wezwie policję. Materialne możliwości wspomagania ludzi też się

zmniejszyły. Komitety są próbą pobudzenia aktywności społecznej. Jestem przekonany, że masowość tej akcji może przynieść sukces. Niestety, ta inicjatywa ma wielu oponentów, choć nikomu nie zagrażamy. Akcja nie jest zamysłem propagandowym, podstawowym jej założeniem jest wiara w skuteczność. Jeszcze jedna rzecz ogromnej wagi: jeżeli żąda się wprost reaktywowania „Solidarności" w stanie sprzed 13 grudnia 1981 roku, to żąda się, by władza przyznała się do błędu. Prowadząc akcję rejestracyjną w ramach ustawy o związkach zawodowych, pozwala się władzy zachować twarz.

Anna: Czy widzi Pan strukturę, która skupiłaby komitety pod jedną egidą?

A. M. To pytanie jest niezwykle istotne i trudne. Powołanie Komitetu, wystąpienie z wnioskiem o rejestrację to działanie legalne. Kiedy zapada wyrok sądowy odmawiający rejestracji, według suchej litery prawa Komitet nie ma możliwości działania. Istnieją jednak pewne możliwości zakwestionowania zakazu w drodze faktów. Artykuł z konwencji MOP nr 87 mówi, że pracownicy i pracodawcy bez żadnych ograniczeń mogą tworzyć związki zawodowe, także artykuł 22 ustęp 1 międzynarodowego paktu Praw Obywatelskich i Politycznych mówi o prawie do zrzeszania się, do tworzenia wolnych związków zawodowych. W Pakcie Praw Społecznych Gospodarczych i Kulturalnych powtórzone zostało to samo. Jest to jedno z fundamentalnych praw człowieka, a oba pakty zostały w 1977 roku ratyfikowane przez PRL. W praktyce wygląda to tak: Sądy Wojewódzkie odmawiają rejestracji; Sąd Najwyższy oddala rewizję, następnie ustosunkowuje się do zarzutów rewizyjnych mówiąc, że: są międzynarodowe pakty i konwencje, ale pozostają w sprzeczności z prawem wewnętrznym. Chodzi tu o art. 60 ust. 3 zdanie drugie ustawy o związkach zawodowych. Albowiem nie nastąpiła transformacja postanowień międzynarodowych do prawa wewnętrznego. Sądy stosują prawo polskie, a prawa człowieka nie są brane pod uwagę. Żeby nie zarejestrować komitetów stosuje się prawo instrumentalne i odmawia ludziom możliwości realizacji ich podstawowych praw. Takie traktowanie prawa wychodzi na jaw, bo sądy muszą uzasadniać na piśmie odmowę. W tej sytuacji punkt ciężkości musi być przeniesiony na nasze działania, [może] poprą nas zagraniczne centrale związkowe lub zachodnia opinia publiczna.

Anna: Czy widzi Pan naszych przedstawicieli w Międzynarodowej Organizacji Pracy?

A. M.: Myślę, że stanowisko MOP jest życzliwe dla naszego związku. Świadczy o tym fakt afiliacji „Solidarności" do Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków zawodowych i Światowej Konfederacji Pracy. Ze strony MOP możemy się spodziewać wsparcia z zakresie starań o legalne działanie w pluralistycznych związkach zawodowych. Ale jeszcze chciałbym dodać dwa zdania o sprawach ogólnych. Od wprowadzenia w życie artykułu 60-go ustawy o związkach zawodowych, który zawiesił pluralizm związkowy, minęło prawie pięć lat i Rada Państwa milczy, co zrozumiałe jest zresztą, gdyż nie leży w jej interesie przysparzanie sobie kłopotów. Czyż nie jest to drastyczne lekceważenie obywateli? Co gorsza, Sejm również milczy, a jest tam przecież trochę posłów niezależnych. Kościół czasie posiedzeń Komisji mieszanej Episkopatu i rządu też milczy. Jakie są powody ogólnej ciszy? Jakie wymogi powinny być spełnione, by określono końcowy termin? Warto pamiętać, że każdy komitet założycielski to dowód, że związek żyje. Na tworzenie programów przyjdzie czas, kiedy będziemy działać legalnie.

Anna: Czy kryzys gospodarczy zdopinguje zmęczonych ludzi do działania, czy też będzie furtką do emigracji wewnętrznej?

A. M.: To złożone. Znaczna część ludzi skoncentruje uwagę na zapewnieniu sobie i rodzinie jakich takich warunków życia. Pewna część wyemigruje wewnętrznie. Nie wiem, czy trudna sytuacja gospodarcza będzie dopingiem w walce o pluralizm związkowy. Musi dojść do kompromisu między władzą a nami, i to nie w formie pisemnej ugody, tylko drogą tworzenia faktów. Pierwszym krokiem powinien być podpis przewodniczącego Rady Państwa pod uchwałą, która określałaby termin zakończenia sytuacji, w której w zakładzie może działać tylko jeden związek. Kompromis musi przynieść korzyści obu stronom. Nie może być kryptą dla spisku, by zlikwidować jedną ze stron. Duża część działaczy i społeczeństwa do takiego kompromisu dojrzała. Jeśli chodzi o rząd, to bronią pozycji, które nie są do obrony przy logicznym myśleniu.

Anna: Jaki kształt miałby mieć dziś związek?

A. M.: Przede wszystkim związek zawodowy musi bronić żywotnych interesów ludzi pracy, ma się zajmować tym, co zapisano w Międzynarodowym Pakcie Praw Obywatelskich i Politycznych oraz w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Podkreślam, że związek nie powinien nosić znamion organizacji politycznej.

Anna: Powrócę do początku naszej rozmowy, do fragmentu, w którym mówił Pan o tym, że pewne działania polityczne są zagrożeniem dla związku. Ale jeżeli związek zostanie już zalegalizowany, to czy będzie obok niego miejsce na działania polityczne?

A. M.: Realnie oceniając sytuację w dostrzegalnej perspektywie czasowej, uważam, że pluralizm związkowy byłby bardzo dużym osiągnięciem.

„KOS" [warszawski],
nr 7 (137), 10 IV 1988 r.

Uwaga - hamulcowi!

(List do redakcji)

W 1980 roku fala aktywności społecznej wyniosła tych, którzy symbolicznie przyczynili się do jej powstania, na przykład pierwsi wywołali strajk w danym regionie lub zakładzie pracy. Później przyszedł czas kilkunastu miesięcy legalnej działalności, kiedy obdarzeni kredytem zaufania kierowali Związkiem. Z perspektywy czasu widać, że tylko niewielu z nich stanęło na wysokości zadania. Nie dochodzili oni jednak do swojej pozycji społecznej droga stopniowego aAwansu, ogarniając umysłem coraz szersze horyzonty, lecz nagle i bez żadnego przygotowania. I to jest ich wystarczające usprawiedliwienie.

Stan wojenny i lata następne wykazały, że wielu z nich było działaczami - meteorytami. Zaświecili w sprzyjających warunkach i gdy te zmieniły się, zgaśli. Wyemigrowali lub popadli w bezruch. Oceniając czysto legalistycznie, nie można ich za to winić, gdyż godząc się na swe kandydatury w wyborach, decydowali się na funkcję działaczy w legalnym Związku w okresie następnych dwóch lat.

Pomijając fakt zasadniczej zmiany warunków działania na skutek wprowadzenia stanu wojennego, ich mandaty wygasły w 1983 roku. Ci, których nie wypłoszył stan wojenny, działali dalej, kierując podziemnym już Związkiem. I tu tkwi drugie oblicze dramatu „Solidarności". Nie przyjmując do wiadomości klęski z 13 grudnia, przybrali postawę protestu - świeczki w oknach, noszenie oporników, manifestacje itp. Kierunek ten jest preferowany przez znaczna część działaczy do dzisiaj. Wielu z nich żyje od rocznicy do rocznicy, nawołując do coraz bardziej smętnych manifestacji. Nie wyciągają wniosków, że przestają w nich brać udział również zaangażowani członkowie „Solidarności".

Działania te, choć wydawałoby się, że moralnie słuszne, są niestety politycznie głupie, gdyż prowadzą do starcia z władzą na najdogodniejszej dla niej płaszczyźnie - prymitywnej siły. Aktualny bezsens tych poczynań czuja szeregowi członkowie Związku, którzy uczestniczyli w nich dawniej masowo, gdyż utożsamiali wierność idei z wiernością dla przywódców. Dziś, pozostając wierni idei, nie uczestniczą czynnie w działalności NSZZ „S", gdyż jej przywódcy nie tylko nie wysuwają żadnych propozycji działań wynikających z konkretnego programu (konkretne cele, które za pomocą wskazanych środków można z dużym prawdopodobieństwem osiągnąć w wyznaczonym czasie), ale wykorzystując resztki autorytetu usiłują blokować oddolna inicjatywę. A przecież inicjatywy te, przy ich poparciu, mogłyby mieć szerszy zasięg i dzięki temu osiągnąć większą skuteczność.

Jako przykład można podać inicjatywę, wykorzystującą aktualny stan prawny, rejestracji zakładowych ogniw „Solidarności". Działania te w Świnoujściu i Szczecinie spotkały się ze zdecydowanie wroga reakcją SB i innych oficjalnych czynników. Z taką samą reakcją, popartą tylko innymi argumentami, wystąpili znani w naszym regionie działacze przedgrudniowi: Marian Jurczyk, Stanisław Wądołowski, Stanisław Kocjan i Grzegorz Durski. Jakby na ironię opowiadają się za pluralizmem i demokracją. (...) x Nazwanie ich hamulcowymi, jak podano w tytule tego listu do redakcji, Czytelnik może uznać za wyraz taktu i uprzejmości. Jakby tego było mało, działacze ci (...) ostatnio uaktywnili się, usiłując tworzyć koalicję przeciwko Radzie Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Pomorza Zachodniego. Rada ta poparła oddolne inicjatywy i wbrew „hamulcowym" wystąpiła o rejestrację NSZZ „S" w Stoczni Szczecińskiej. W intrygi te usiłowali wciągnąć niżej podpisanego i stąd taka dokładna relacja. Jako jedyny warunek objęcia „władzy" wysunęli swoje mandaty z 1981 roku. Uważam, że dziś jedynym mandatem jest umiejętność działania w aktualnych warunkach, której niestety nie posiadają. Za udział w tych „działaniach" delikatnie oferowano mi miejsce „na kanapie" obok nich. Napełniło mnie to trudnym do wyrażenia obrzydzeniem. Po rozważeniu ewentualności wykorzystania tego materiału przez przeciwników, zdecydowałem się jednak na jego publikację na własną odpowiedzialność. Mam nadzieję, że pozytywy oczyszczającej burzy, jaką wywoła mój list do redakcji, przeważą negatywne skutki.

Stanisław Możejko

„Robotnik Pomorza Zachodniego", nr 15/16 (133/134), 1-16 IX 1987 r.

x/ Skróty pochodzą od redakcji „RPZ"

Uwagi o próbach rejestracji NSZZ „Solidarność" pracowników różnych zakładów i grup inicjatywnych

Uważnie wysłuchałem mecenasa Andrzejewskiego, kiedy w interesie grupy inicjatywnej z „Warskiego" apelując do rozumu i sumienia Sądu Najwyższego usiłował dopro-

wadzić do zarejestrowania NSZZ „S" Stoczni Szczecińskiej. Wysłuchałem i zdumiałem się. Oto cały wywód szedł w kierunku wykazania sądowi, że orzeczenie w tej sprawie będzie odpowiedzią na dręczącą świat kwestię czy przypadkiem w Polsce nie działa jeszcze prawo stanu wojennego. 36 zgromadzonych na sali biernie obserwowało ten słaby spektakl o znanym z góry finale, myśląc podobnie, jak piszący te słowa, co też zmusiło, a może zachęciło świetnego przecież prawnika do odgrywania roli „pierwszego naiwnego". Mało kto bowiem wie lepiej od niego, jakie prawo i kiedy w Polsce działa (o prawie kaduka też pewnie słyszał). Bardziej interesujące są okoliczności poprzedzające ten i podobne jemu spektakle. Pojawia się oto w prowincjonalnej mieścinie leader związkowy o błyskotliwym intelekcie i tytanicznej indywidualności, który oświadcza: musimy posypać głowy popiołem i w worach pokutnych iść do Canossy (czyt.: do Sądu Najwyższego jako narzędzia władzy), gdyż wobec uznania w świecie władzy generała, musimy szanować jego prawo. Ponadto - stwierdza wielki leader - „Solidarność" nie istnieje, bo została zdelegalizowana, a kadencja jej władz już minęła. Pogląd ten, o dziwo, podziela bogaty mecenas hojnie wspomagając naszego „geniusza" w jego poczynaniach, których celem ostatecznym jest wyeliminowanie z wszelkiej działalności wszystkich tych, z którymi Naród wiązał największe nadzieje, a więc działaczy „S" pochodzących z wyboru. Miejsce ich mieliby zająć ci, którzy tworzą, a raczej inicjują powstawanie tzw. grup inicjatywnych. Nie jest przy tym żadną przeszkodą fakt, że NIKT ich nie WYBIERAŁ.

Depcząc wieloletnią walkę legalnych władz „S" o przywrócenie Związku do życia, umyślili sobie jego totalna rzeź po to, by rejestrować później żałosne szczątki, posługując się przewrotnie nazwą „SOLIDARNOŚĆ".

Smutne jest także to, że brak rozwagi aktywistów mści się ubeckimi represjami w stosunku do tych, którzy dali się namówić do wejścia w skład owych grup inicjatywnych. Można i tak. Herostrates wszedł do historii dlatego, że podpalił jedną z najwspanialszych ówcześnie budowli. Dzisiejsi „geniusze" wprawdzie świątyń nie palą, ale depczą to, co NARÓD chciał i WYBRAŁ z własnej woli. Nie trzeba chyba przypominać, gdzie każdy naród umieszcza uzurpatorów.

S[tanisław] K[ocjan]

„Nadodrze" nr 36, Police, 5 X 1987 r.

Zadośćuczynienie sprawiedliwości

Dr Wanda Karkucińska i Marzena Szczeglewska z jednej, a prof. Edward Homa z drugiej strony stanowią symbol (czytelny zwłaszcza dla pracowników i studentów polonistyki) nie licujących z elementarnymi zasadami etyki niedawnych stosunków US.

Obie panie opuściły nie z własnej woli, uczelnię w 1986 roku. Ich powrót na uczelnię czy choćby moralna rekompensata stanowić będą dla nas swoiste katharsis, znak rzeczywistej odnowy w naszej uczelni.

Wanda Karkucińska była jedynym w Instytucie Filologii Polskiej specjalistą w dziedzinie historii literatury staropolskiej. Do dziś studenci piątego roku opowiadają, jakim znakomitym dydaktykiem była dr Karkucińska. Zwolniona została oczywiście bez uzasadnienia, tuż przez obroną pracy doktorskiej, która miała miejsce na UAM w Poznaniu we wrześniu 86 r. Jak się dowiadujemy Komisja Senacka d/s osób zwolnionych z pracy podjęła decyzję o konieczności ponownego zatrudnienia dr Karkucińskiej w US.

Także odnośnie Marzeny Szczeglewskiej (usuniętej z III roku polonistyki) rektor podjął decyzję o ponownym przyjęciu jej na studia. Marzena była zaangażowana w niezależną działalność kulturalną (której tak teraz brakuje) - wielu z nas pamięta „nielegalne" spotkanie z Andrzejem Drawiczem.

Z pewnością są osoby, których obecność na naszej uczelni trudno uzasadnić względami naukowymi i moralnymi. Do takich osób należy prof. dr hab. Edward Homa - bezpośredni sprawca wielu ludzkich krzywd, wśród których sprawy Karkucińskiej i Szczeglewskiej stanowią wybrane przykłady.

Od pewnego czasu zbierane są podpisy pod petycją domagającą się wyrzucenia prof. Homy z US. Do tej pory podpisało się ok. 500 studentów i większość pracowników. Akcja zbierania podpisów trwa!

Czy to także zadośćuczynienie sprawiedliwości? Chyba tak.

(MAT)

„Nasz Czas". Biuletyn Informacyjny Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu Szczecińskiego", nr 3, IV 1990 r.

„BIS" – siedem lat zakazanych

Podziemny, szczeciński miesięcznik „BIS" (tytuł oznaczał, popularny potem i w innych regionach kraju, skrót słów : Biuletyn Informacyjny „Solidarności") ukazał się po raz pierwszy w marcu 1982 roku i z pewnością był wówczas, jedną z pierwszych, kolportowanych w mieście, zakazanych bibuł. Ten pierwszy numer przygotowany specjalnie na protestacyjną manifestację, która - w rejonie ulic Ku Słońcu i al. Piastów – zgromadziła kilka tysięcy osób i została zapamiętana z sadystycznego zaatakowania sikawkami lodowatej wody maszerującego tłumu. Było to apogeum stanu wojennego. Po masowych aresztowaniach przywódców i aktywnych członków „Solidarności" nastąpił paraliż i frustracja. W wielu zakładach i środowiskach trwały jeszcze weryfikacje, w ich wyniku ludzie tracili nie tylko pracę ale i zaufanie do jeszcze niedawnych kolegów, przyjaciół. Królowała niepewność i obawy o to co może przynieść jutro. I właśnie to dojmujące poczucie opuszczenia i bezradności z jednej strony, a z drugiej spontanicznie wylewający się na ulice gniew społeczny spowodowały, że grupa osób związanych w okresie „karnawału" z „Solidarnością" na uczelniach szczecińskich (Politechnika Szczecińska, Wyższa Szkoła Morska, Akademia Rolnicza) oraz ze zdelegalizowanym dekretem wojennym Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich, zaczęła wydawać „BIS-a". Pierwszy, powielaczowy numer był skromną ulotką rozkolportowaną podczas opisanej wyżej manifestacji. Paczkę kilkuset egzemplarzy ukrył wcześniej na Cmentarzu Centralnym Staszek Machay, stoczniowiec i mąż Hanki – dziennikarki zwolnionej z „Kuriera Szczecińskiego".

Od pierwszego do ostatniego numeru „BIS-a" , a trzeba podkreślić, że ukazywał się on z niewielkimi przerwani (zaznaczonymi w nagłówku podwójną numeracją) aż do wyborów w 1989 roku – skład osobowy redakcji był właściwie stały, choć w pierwszych latach, jeden autor artykułu o drugim niewiele wiedział, a o miejscu druku – w ogóle. Łącznikiem między nami był przez pierwszy rok, zanim nie wyemigrował do Kanady, Janusz Szaban (pracownik wydziału okrętowego PS). Po nim przejął pałeczkę koordynatora Marek Tałasiewicz, pracownik naukowy tego samego wydziału na Politechnice. W sprawy druku wtajemniczony był Jacek Sauk (Wyższa Szkoła Morska), korzystający także z kontaktów Longina Komołowskiego, a sam druk „BIS-a", przynajmniej w późniejszym okresie, to znaczy po roku 1985, odbywał się w zakonspirowanej drukarni przy ulicy Modrej. Na początku bowiem radziliśmy sobie starą metodą ręcznego powielacza i zdradziecko pachnącą farbą z pasty bhp „Komfort". Była to technologia uciążliwa nie tylko dla drukarzy ale i dla piszących. Wymagała silnego uderzania w klawisze maszyny i pisania bezpośrednio na przebitce papierowej, w formie dokładnie takiej jaka potem miała być powielana. Żadne poprawki nie mogły być więc nanoszone.

Aż do roku 1986 (mniej więcej do marcowego numeru 58) „BIS" ukazywał się jako inicjatywa niezależna z podtytułem: „Wydaje Grupa Solidarnościowa – Szczecin". Po tym terminie miesięcznik staje się w regionie głosem, zorganizowanych już wtedy w kraju, podziemnych struktur „Solidarności" działających w środowiskach pracowników wyższych uczelni i studentów. Zyskuje też nadtytuł: „Pismo Społecznego Komitetu Nauki". Wiąże się to z dostępem do lepszego papieru i lepszej technologii druku. Już nie pasta „Komfort" i przebitkowe matryce, teraz redaktor-koordynator wykleja makietę w pożądanym układzie dostarczonych mu tekstów i przekazuje dalej… To już era druku opartego na fotografii.

Jednak problemem było nie tylko to skąd zdobyć papier (pierwszy, kilkuletni etap druku „BIS--a" odbywał się na papierze szmuglowanym z biur uspołecznionych zakładów pracy) i jak wydrukować. Także do pisania artykułów, wbrew dzisiejszej, powszechnej modzie na memuary, nie było wielu chętnych. Nie powinno to budzić zdziwienia – w pierwszych latach stanu wojennego ludzie na ogół nie byli rozmowni i o naprawdę wiarygodne informacje z tzw. terenu łatwo nie było. Bywało też tak, że ci aktywni w podziemiu nie zawsze chcieli być aktywnymi w przelewaniu wiadomości na papier w obawie przed dekonspiracją. Myślę dziś, że obawy te były co najmniej przesadzone, jednak zdarzyło się, że sama wówczas przeżyłam mało śmieszny napad strachu, gdy akurat podczas pisania artykułu dla jednego z pierwszych numerów „BIS-a" załomotała do naszego, blokowego mieszkania na Osiedlu Zawadzkiego ubecja i zrobiła regularny kipisz. Wprawdzie maszyna do pisania nie wzbudziła w domu zawodowych dziennikarzy wielkich podejrzeń, niemniej zarekwirowano ją wraz z… zardzewiałym hełmem przywleczonym kiedyś przez naszego kilkunastoletniego syna z jakiegoś złomowiska. Do dziś nie rozumiem, jakiej winy ten hełm miał być dowodem. Niemniej po tym przypadku, artykuły do jednego czy dwu kolejnych numerów pisałam nie w swoim domu, tylko u państwa Rucińskich na Osiedlu Słonecznym. Strach miał wielkie oczy!

Poza wymienionymi już osobami związanymi z wydawaniem „BIS-a" , stałą pomocą różnego typu służyli: Danuta Dąbrowska (Uniwersytet Szczeciński), Ryszard Ukielski (Politechnika Szczecińska), Andrzej Markowski (Akademia Rolnicza), Teresa i Marian Kaska oraz inni, o których być może do dziś nie wiem albo nie pamiętam.

Po roku 1985, gdy ruch wydawnictw podziemnych i ich kolportaż w kraju nabrał rozmachu, do redakcji „BIS-a" docierał dość bogaty serwis infor-

macji, głównie w postaci gazetek warszawskich, katowickich i wrocławskich. Dużo było też pisanych na cienkich bibułkach kopii różnych „odezw" i „stanowisk". Przedrukowywaliśmy więc w „BIS-ie" najważniejsze informacje krajowe, ale zawsze najcenniejszym materiałem redakcyjnym był artykuł pisany w oparciu o zdarzenia w Szczecinie i w regionie. Najbardziej aktualne były tu informacje ze środowisk oświaty i kultury, bo też ludzie z tych właśnie środowisk tworzyli „BIS-a".

PS. Autorzy „BIS-a" posługiwali się niezmiennie tymi samymi pseudonimami (najbardziej pracowici używali kilku) Ja najczęściej podpisywała się skromnie „rys", Marek Tałasiewicz –„j.t." lub „Jan Tatarski"

Gość z krainy baśni

(…) Dnia I2 kwietnia br. u szczecińskich dziennikarzy oraz „aktywu środowiska kultury" gościł Anatolij Nikołajewicz Awierjanow. Jest on nie byle kim, tylko ni mniej ni więcej… inspektorem Wydziału Propagandy KPZR. Gość z Moskwy miał za zadanie poinformować zebranych w sali konferencyjnej „Głosu Szczecińskiego" żurnalistów miejscowej prasy, radia i telewizji oraz przedstawicieli (przypomnijmy, szczególnie aktywnych) muzeum, biblioteki, teatrów, wydawnictw, WDK, BWA, PZK, itd. O sytuacji radzieckiej inteligencji. Warto jeszcze dodać, że Awierjanow przebywał w naszym kraju (z pewnością więc nie tylko w Szczecinie) na zaproszenie KC PZPR.

Wysokie, jakby nie było, stanowisko zajmowane przez Anatolija Nikołajewicza pozwalało oczekiwać bystrego aparatczyka, umiejącego z handlowym wdziękiem zachwalać i propagować zalety swojego ukochanego ustroju. Tymczasem zjawił się smutny jegomość o stylu bycia i swobodzie wysławiania się księgowego z podrzędnego kółka rolniczego. Przypominał robota z kamienną twarzą recytującego wyuczone formułki. Najwyraźniej nie był zainteresowany reklamowaniem przekazywanych idei. Całą postawą wobec słuchaczy wyrażał przekonanie , że zebrani - chcą tego czy nie - będą musieli, wcześniej czy później, doświadczyć tego samego, co i inne narody uległe Kremlowi. Metodycznie i monotonnie, patrząc drewnianym wzrokiem przed siebie, produkował przy pomocy tłumacza broszurowe slogany i frazesy o wyższości socjalizmu oraz doktryny marksistowsko-leninowskiej nad innymi systemami społeczno-politycznymi. (…) Sporo miejsca poświecił inspektor KC KPZR systemowi kształcenia ideologicznego ludzi radzieckich. System ten, rzecz jasna, odzwierciedla społeczną strukturę wyznaczoną wykształceniem: podstawowym, średnim, wyższym. Wszyscy, dopóki nie przejdą na emeryturę muszą na okrągło, nieustannie utrwalać swój entuzjazm wobec komunizmu. Podał Awierjanow nawet przykład wielkich gwiazd piosenki: Pugaczowej i Biczewskiej, które w chwilach wolnych od zajęć estradowych ochoczo biegają na zajęcia z marksizmu-leninizmu.

(…) Po odklepaniu przez Awierjanowa dogmatów, wypadało rozpocząć dyskusję. Nie ulegało wątpliwości, że dyskutanci byli z góry umówieni. Najbardziej aktywny był red. Zygmunt Dziuba z „Głosu", który ochoczo popisywał się znajomością jeszcze „ciepłych" wypowiedzi Gorbaczowa. Pytaniami „zasypywali" towarzysza inspektora z Moskwy czterej panowie z „Głosu" i „Kuriera". Prowadzący spotkanie wyczuł, że aktywność owej czwórki, wobec milczenia pozostałych, dekonspiruje sztuczność dyskusji z czynownikiem (jedynie Kinga Brandys z TV wszystko notowała skwapliwie jak pilna uczennica), zaapelował więc do „aktywu środowiska kultury". Na wysokości zadania stanęła kustosz Najdowa z Muzeum Narodowego, którą interesowało czy w budżecie państwa radzieckiego są specjalne fundusze na ideologiczne dokształcanie tak ogromnej ilości ludzi. Inspektor Anatolij z godnością i niezmąconym spokojem odparł, że takich funduszy nie ma albowiem praca ta wykonywana jest… społecznie. Wynika z tego, że on sam jest jednym z nielicznych, którzy za propagandę ideologiczną biorą pieniądze.

Cóż, bywają dziwki i prostytutki…

Ostatnie pytanie zadał przedstawiciel Pracowni Konserwacji Zabytków. Odważył się zapytać jak w kontekście ideologicznego kształcenia przedstawia się problem opozycji politycznej w ZSRR. Inspektor dobitnie oświadczył, że w ZSRR nie ma opozycji! Wspomniał o „paru" pisarzach, którzy już dawno opuścili radzieckie granice, oraz o ludziach niezadowolonych z błahych, bytowych powodów. Opozycji politycznej jednak nie ma. Tak, zdecydowana odpowiedź sprawiła, że zebrani - jak jeden mąż - zapragnęli przenieść się do tego baśniowego kraju.

(Zbigniew Pusio)

„BIS", nr 5(47), 25 V I985 r.

Pusty śmiech i trwoga

Wspominaliśmy już o wojnie jaką toczy US ze swoją studentką - Marzeną Szczeglewską (III rok filologii polskiej). Władza uniwersytecka dąży do pozbycia się Marzeny z „czerwonej uczelni" za to że:

W dniu I7 XII I984 wzięła udział w składaniu kwiatów pod tablicą przy Stoczni im. A. Warskiego.

Nie uczestniczyła w pochodzie I- majowym w roku I985, dając tym zły przykład.

W jej mieszkaniu znaleziono kalendarzyk wydany przez „Obraz" i metalowy znaczek „Solidarności".

Nie jest zaangażowana w działalność organizacji młodzieżowych istniejących na uczelni i daje zły przykład w tym względzie.

„BIS", nr 2(57), II I985 r.

Święto Majowe - Szczecin

Już na kilka godzin przed godz. I0.00, kiedy to miała się zacząć oficjalna manifestacja, wzdłuż al. Wyzwolenia zgromadzono olbrzymie siły milicyjne. Co kilkadziesiąt metrów patrol ZOMO w towarzystwie ormowców. Ależ oni mają gęby... Kreci się mnóstwo tajniaków. Gęsto rozstawione bufety z czekoladą, białą kiełbasą i parówkami. Judasza kupiono srebrnikami, ukochani rodacy sprzedają się za kiełbasy i czekoladki. Rano wiele osób zdecydowało się złożyć kwiaty pod Tablicą przed brama stoczni im. Warskiego. Milicjanci legitymowali ale nie bardzo przeszkadzali.

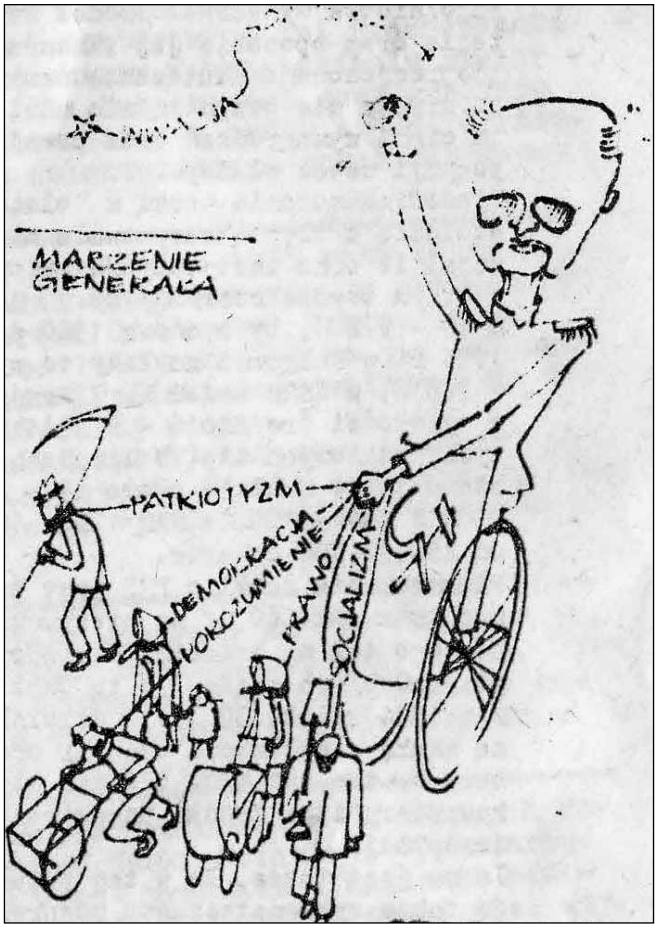

O godz. I0.00 odbyła się w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa przy pl. Zwycięstwa msza św. w intencji świata pracy. Ludzi było sporo choć bez tłoku. Po zakończeniu nabożeństwa milicjanci, którzy w dużej liczbie kręcili się wokół świątyni, legitymowali i spisywali ludzi, zwłaszcza osoby młode, zatrzymujące się po wyjściu z kościoła. Na dachu spółdzielni lekarskiej „Medicus" cały czas pracowicie fotografował wiernych służbowy fotograf.

„Lepiej" powiodło się milicji 3 maja. W rejonie katedry (ul. Mariacka, ul. Tkacka, ul. Kard. Wyszyńskiego) ulokowano Zmotoryzowane Odwody MO. W sukach - pełno zomowskiej młodzieży. Widać, że chłopcy rwą się do akcji. Władze „zapewniają" obywatelom bezpieczeństwo. Mimo to na placyku przed świątynią pojawiają się pijaczkowie. Zachowują się wyzywająco i prowokacyjnie. Skąd się wzięli i dlaczego funkcjonariusze ich przepuścili, troskliwie legitymując i sprawdzając podążających na nabożeństwo? Wychodzących z kościoła wita kordon ZOMO i... kamerzysta zawzięcie filmujący gęstniejący tłum. W pewnym momencie ZOMO ruszyło i zaczęło się pałowanie. Doczekali się wreszcie, będzie premia! Aresztowano, jak się potem okazało 78 osób. Następnego dnia kolegium zabierało „za niewinność" po I4 tys. złotych. Jeśli na kogo padło, że nie tylko „nie opuścił zgromadzenia mimo wezwania do rozejścia się", ale ponadto wznosił „antypaństwowe hasła", to wyceniano go wyżej. Obywatele funkcjonariusze próbowali jeszcze nawiązać kontakt bojowy z wrogiem w okolicach Bramy Portowej i baru „Ekstra", gdzie szczególnie aktywnie działała grupa cywilnych prowokatorów, sprawnie zarządzana przez faceta z parasolem i w charakterystycznym kapelusiku. Ludzie jednak nie reagowali i prowokacja się nie udała.

„BIS", nr 4(46), 23 IV I985 r.

Danuta Jeżowska-Kaczanowska

1 MAJA - ŚWIĘTO PRACY

JEST TO NASZE ŚWIĘTO. NIE MUSIMY I NIE POWINNIŚMY MASZEROWAĆ w ICH POCHODZIE !

BIS Nr 4/46 23 IV 1985

WYDAJE GRUPA SOLIDARNOSCIOWA - SZCZECIN

oświadczenie

Rady Koordynacyjnej NSZZ "Solidarność" Regionu Pomorza Zachodniego w sprawie obchodów dnia 1 Maja i dnia 3 Maja

Tegoroczne święto 1 Maja i 3 Maja obchodzić będziemy pod hasłami:
-podwyżki płac dla wyrównania wzrostu cen,
-przestrzegania prawa do 8-godzinnego dnia pracy,
-uwolnienia wszystkich więźniów politycznych.

Rada Koordynacyjna zwraca się do wszystkich członków i sympatyków NSZZ "Solidarność" o aktywne uczestnictwo w obchodach tych świąt przez:
-składanie kwiatów w dniu 1 Maja od godz.9.oo do 10.oo pod tablicą upamiętniającą ofiary Grudnia 1970,
-składanie kwiatów w dniach 1 i 3 Maja na grobach poległych w Grudniu 1970,
-masowe uczestnictwo w Mszach św. oraz w niezależnych manifestacjach w dniu 1 i 3 Maja,

Jednocześnie wzywamy do bojkotu 1- oraz 3-Majowych "imprez" organizowanych przez władze. W dniach 1 i 3 Maja wszyscy będziemy mieli szansę aktywnego protestu w najżywotniejszych sprawach każdego z nas.
NIE ZMARNUJMY TEJ SZANSY !

Rada Koordynacyjna
NSZZ "Solidarność"
Regionu Pomorza
Zachodniego

Szczecin,dnia 10 kwietnia 1985 r.

ODEZWA 1-majowa

TKK NSZZ "Solidarność" WZYWA do przeprowadzenia w dniu 1 maja br. NIEZALEŻNYCH MANIFESTACJI.

W 95 lat po pierwszych manifestacjach majowych w Polsce hasła tamtych robotniczych wystąpień są znowu aktualne. Żądamy:
- podwyżek płac dla wyrównania wzrostu cen,
- przestrzegania prawa do 8-godzinnego dnia pracy,
- uwolnienia wszystkich więźniów politycznych.

TKK NSZZ "Solidarność"
B.Borusewicz /R.Gdańsk/
Z.Bujak /Reg.Mazowsze/
T.Jedynak /R.Dolny Śląsk/
M.Wuszyński /R.Dolny Śląsk/
Przedstw.Reg.Małopolska
Przedstaw.Reg.Pomorza Zach./

4 kwietnia 1985 r.

KARTKA Z KALENDARZA

W grudniu 1888 r. IV Zjazd Amerykańskiej Federacji Pracy postanowił uznać 1 maja 1890 r. za początek walki o 8-godzinny dzień pracy.

W lipcu 1889 r. obradujący w Paryżu kongres II Międzynarodówki postanowił "przeprowadzić wielką manifestację międzynarodową w raz na zawsze ustalonym dniu../ Wobec tego,że taka manifestacja została już wyznaczona przez Amerykańską Federację Pracy na dzień 1 maja, data ta zostaje przyjęta również dla manifestacji międzynarodowej."

No cóż, nie tylko pszenicę i elektronikę mamy z Ameryki, Święta Pracy - także...

/jt/

„AR”- biuletyn krajowy wychodzący w Szczecinie

„AR” – to najmniejsza powierzchnia uprawna w gospodarstwie rolnym, a równocześnie tytuł nielegalnego pismo niezależnych organizacji rolniczych w całym kraju, wychodzącego w Szczecinie. Był redagowany w latach 1984-89 przeze mnie, przy wsparciu czołowych animatorów organizacji rolniczych – Artura Balazsa i Piotra Baumgarta. Pod koniec, biuletyn był oficjalnym pismem Tymczasowej Krajowej Rady Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Osobiście zajmowałem się zbieraniem informacji, przygotowaniem i opracowaniem artykułów publicystycznych oraz tym wszystkim co się nazywa redagowaniem gazety. Do dziś nie wiem (konspiracja!) kto zajmował się jego drukiem. Gotowe egzemplarze, w nakładzie 500–700 egz. odbierałem najczęściej w kościele oo. Jezuitów przy ul. Pocztowej i dostarczałem je na posiedzenia TKR RI ”S” a tam rozdawałem uczestnikom do dalszego kolportażu.

Rzecz jasna nie posiadam wszystkich wydanych numerów „Ar-a”. Przechowywanie ich graniczyłoby z lekkomyślnością. Byłem na to szczególnie uczulony po smutnym doświadczeniu z kopią listy bezrobotnych dziennikarzy przekazaną biskupowi Stanisławowi Stefankowi, którą przy rewizji, zabrała „ubecja”. To co się zachowało, przesłałem dwa lata temu do Biblioteki Narodowej na ręce pani Joanny Bachtin.

Niezależne organizacje rolnicze miały różne etapy organizacyjne. Była: „Komisja Rzeszowska”, „Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników”, „Solidarność Wiejska”, „Solidarność Rolnicza” i „Polskie Stronnictwo Ludowe” Henryka Bąka. Ich podstawowym łącznikiem, był właśnie ten biuletyn. Spotykaliśmy się w różnych miastach – od Warszawy poczynając, przez Częstochowę, Kraków, Nową Hutę, na Rzeszowie kończąc. W Warszawie obradowaliśmy najczęściej u prałata Bijaka na plebanii w Wilanowie. Był on wielkim orędownikiem ruchu ludowego, ubolewał nad losem ZSL i zawsze marzył o tym, że powstanie silny PSL. Odbyliśmy na jego plebani kilka spotkań. Dyskusje z Romanem Bartoszcze, który był równocześnie członkiem TKR RI „S”, pochłaniały wielogodzinne spotkania. Podczas wymiany zdań zarysowała się odmienność poglądów na temat politycznej reprezentacji chłopów. Józef Ślisz prezentował pogląd, że ma to być jedynie część składowa związku zawodowego. Artur Balazs, Piotr Baumgart, a nawet Gabriel Janowski, że – samodzielna partia polityczna. Tego chcieli również: prałat Bijak, Roman Bartoszcze, Nowicki i inni. Nastąpiła pełna polaryzacja. Jeszcze głębsze rozbieżności na tle przywództwa w Związku zarysowały się między Gabrielem Janowskim, a Józefem Śliszem i Arturem Balazsem. W tym przypadku chodziło zwyczajnie o to kto ma stać na czele TKR RI „Solidarność”. W momencie jej powstawania, w wyniku sprytnych zabiegów, przewodniczącym został Józef Ślisz. Nigdy tego nie zaakceptował Gabriel Janowski. Na każdym posiedzeniu, wszczynał spory, a ponieważ miał zawsze ze sobą stałą gwardię stronników, było ostro i wesoło. To oni (stronnicy) domagali się odbycia zjazdu i dokonania wyboru stałych władz. Takie spory trwały aż do zakończenia obrad Okrągłego Stołu. Wcześniej, właściwie w czasie ich trwania odbyło się wielkie spotkanie w Rzeszowie. Przybyło na nie ponad osiem tysięcy rolników ze wszystkich regionów kraju. Nie były to łatwe czasy dla rolnictwa. Ceny produktów rolnych stały w miejscu, a środki do ich produkcji ciągle rosły. Tu, w Rzeszowie po raz pierwszy padło stwierdzenie, że przedłużanie się kryzysu w rolnictwie może spowodować autentyczny głód w całym kraju. Odblokowanie przepisów, możliwość zagospodarowania wolnej ziemi, obniżka cen maszyn i nawozów – to najczęściej pojawiające się postulaty.

Zebranie w Rzeszowie odbyło się 18 lutego 1989 roku w okresie finału obrad Okrągłego Stołu. Na spotkaniu było pięciu jego uczestników. Zażądano od nas sprawozdania. Przemawiali: Ślisz, Balazs, Baumgart, Janowski i ja. Później miałem jeszcze jedną okazję do zabrania głosu. Tym razem podczas nabożeństwa w kościele, zza ołtarza, w obecności ks. bp. Ignacego Tokarczuka. Uwzględniając pesymistyczne nastroje uczestników, uderzyłem w strunę nadziei i optymizmu. W podobnym duchu wypowiadali się Baumgart i Ślisz. Ten ostatni triumfalnie ogłosił, że Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” został przywrócony do życia, a to oznacza, że my, to znaczy rolnicy, też będziemy mieli własny, niezależny związek zawodowy.

Po nabożeństwie czekało na nas około 40 dziennikarzy z całej Polski, reprezentujących zarówno agencje jak i największe dzienniki od „Trybuny Ludu” poczynając, a na „Pobudce” – piśmie KPN – kończąc. Dodatkowo, na Prezydium TKR RI czekali przedstawiciele ambasady amerykańskiej, którzy od dawna zabiegali o takie spotkanie. W tej sytuacji, na sprawy organizacyjne, dotyczące najbliższego zjazdu tej organizacji, zabrakło po prostu czasu.

Tymczasem, aby sąd mógł zarejestrować nasz związek, konieczne było odbycie nadzwyczajnego zjazdu i uchwalenie na nim programu oraz statutu. W tym przypadku najbardziej liczył się czas. Prezydium TKR RI „S” nie miało już czasu na przy-

gotowanie tych dokumentów. Ustalono jedynie, że w czasie zjazdu nie będzie wyboru nowych władz, a te tymczasowe powinny uzyskać jedynie absolutorium. To było nawet logiczne, także z tego powodu, że wypadało zakończyć obrady przy Okrągłym Stole w tym samym składzie. W Rzeszowie, ustalono tylko datę i miejsce takiego zjazdu. Powinien on się odbyć 18 i 19 marca 1989 roku w Warszawie.

W „Arze" z dnia I5 kwietnia I989 roku zachowała się moja relacja z tych obrad.

Na razie euforia: na sali obrad znajdują się delegacje zagranicznych związków farmerskich Włoch, Francji, Szwajcarii i Austrii. Jest prezydent Konfederacji Europejskich Rolników. Jest wreszcie witany burzą oklasków przewodniczący NSZZ „Solidarność" Lech Wałęsa. Takiego gościa nikt się naprawdę nie spodziewał. Błysk fleszów, światła jupiterów, cicha praca kamer i dziesiątki wyciągniętych mikrofonów - prawdziwy obraz wielkich wydarzeń.

Józef Ślisz prostymi słowami wita wielkiego Lecha - To, że po ośmiu latach możemy się spotkać ponownie - mówi - zawdzięczamy wytrwałości i zdecydowaniu Lecha Wałęsy. Twoja z nami obecność jest wyrazem solidarności miasta ze wsią.. Następnie Józef Ślisz przypomina historię Związku. Wspomina OKOR, Komisję Rzeszowską i inne niezależne organizacje chłopskie. Od dwóch lat działa TKR RI „S", która dziś z przygotowanym statutem i programem przychodzi na Zjazd. Ustalenia Okrągłego Stołu - mówi przewodniczący - mają historyczny wymiar - załatwiono tam wiele nabrzmiałych problemów rolniczych. Teraz trzeba pilnować realizacji postanowień, dlatego rolnikom potrzebny jest silny związek zawodowy.

Lech Wałęsa nawiązując do swojego chłopskiego pochodzenia, mówi, że sprawy rolnicze powinni rozwiązywać sami rolnicy. Budujcie - mówi - organizację demokratyczną i niezależną. Słuchajcie nas. Jak będą silne fundamenty, nikt ich nie ruszy Waszym zadaniem jest rozbijanie monopoli na wsi. Jeśli to wam się uda - a ja w to głęboko wierzę, że wy sobie z tym poradzicie - będzie wszystkim nam żyło się lepiej. Musimy zacząć kochać nasz kraj, nasze miasta i wioski, naszą ziemię. Musimy zrobić wszystko, aby były one nasze. Byliśmy źle rządzeni przez tyle lat, teraz musimy dołączyć do Europy. Rozmawiajcie po męsku, bez owijania w bawełnę. Każdy stół - powtarzam to jeszcze raz - żeby mógł stać musi mieć co najmniej trzy nogi. Tymi nogami są „Solidarność" robotnicza, rolnicza i niezależny związek młodzieży. Lech opuszcza salę obrad. Na dziś jeszcze tyle spraw. Owacje nie ustają. Słyszę jak delegat z białostockiego mówi do kolegi: - Lecha widziałem, ale będzie o czym opowiadać.. Po tym miłym akcencie, pierwszy dysonans. Józef Ślisz w imieniu Prezydium proponuje na prowadzącego obrady Piotra Baumgarta. Natychmiast odezwały się protesty. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie zarzuty o manipulację(?), brak demokracji(?) i coraz większego kalibru oskarżenia. Zrobiło się powszechne zamieszanie. Ktoś kogoś chciał ze sali usunąć, innemu zarzucano współpracę z UB, ktoś krzyczał, że go nie dopuszczono do głosu.(!) Józef Ślisz - co tu ukrywać - stracił panowanie nad salą. Z trudem wreszcie udało mu się uporządkować sytuację. Ostatecznie w pierwszym dniu przewodniczył obradom Roman Bartoszcze, mając do pomocy Stanisława Majdańskiego, a w drugim - Gabriel Janowski z Władysławem Żabińskim. Ta sprzeczka na wstępie miała zaowocować burzą na zakończenie obrad.

Ale na razie przemawiają goście z Francji, Włoch, ze Szwajcarii, znów z Włoch i Francji. Odczytywane są telegramy i depesze gratulacyjne. Zjazd spotkał się z żywym zainteresowaniem wielu organizacji niezależnych i opozycyjnych. Z ramienia „S" przemawiali Zbigniew Bujak, Tadeusz Mazowiecki, Edward Radziewicz, Stefan Bratkowski. Telegram nadesłał Kornel Morawiecki z Solidarności Walczącej.

Tezy do programu Związku wygłosili: Wanda Pomianowska o sytuacji socjalnej wsi, Bolesław Banaszkiewicz o sytuacji gospodarczej i Antoni Furtak o sytuacji polityczno- związkowej. Przedtem jeszcze sprawozdanie z obrad Okrągłego Stołu złożyli: Artur Balazs (sprawy związkowe) Piotr Baumgart (sprawy polityczne), Gabriel Janowski (sprawy gospodarcze). Sprawozdania spotkały się z dużym zainteresowaniem, było wiele pytań. Ale delegaci dalecy byli od bezkrytycznego zachwytu. Po prostu kondycja polskiego rolnictwa jest tragiczna. Zarysowany obraz wsi nie ma jasnych barw. Pojawiły się głosy - za jaką cenę uczestnicy obrad Okrągłego Stołu sprzedali naszą chłopską skórę? Uchwalona ustawa o scalaniu gruntów - mówił jeden z dyskutantów - daje szansę PGR-om dla rugowania chłopów z ziemi. Rolnicy - mówił Beszta-Borowski - zostali doprowadzeni do granic ostateczności i wylewają mleko do rowów. W Białostockiem stanęło 70 zlewni. Zażegnaliśmy strajk do zakończenia obrad Okrągłego Stołu. Rolnicy nie wytrzymają tylu obciążeń..

[...]

Drugi dzień upłynął pod znakiem statutu. Omawiano punkt po punkcie, wnoszono poprawki, przyjmowano ustalenia. Przedstawiony projekt statutu jest zbyt szczegółowy. Zawiera prawie 60 paragrafów określający nawet sposób prowadzenia posiedzeń krajowej rady. Z części tych szczegółowych ustaleń rolnicy sami zrezygnowali. Wiele emocji wywołała przewidziana w projekcie struktura krajowej rady, z biurem, prezydium, przewodniczącym, a dodatkowo jeszcze ze starostą. Uczyniono to chyba po to, aby zmęczyć dyskutantów, zaskoczyć zasadniczym dla związku rozwiązaniem czy związkiem ma kierować przewodniczący i prezydium, czy biuro składające się z fachowców. Przyjęto, moim zdaniem, fatalne rozwiązanie, w którym za prace biura odpowiada przewodniczący, a samo biuro odpowiada przed krajową radą(!). Takich niekonsekwencji jest więcej.

Przed przerwą obiadową, Piotr Baumgart, przewodniczący komisji wnioskowej, przedstawił projekt uchwały. Przedstawił również wniosek złożony zresztą przez delegata z zielonogórskiego, aby zjazd udzielił przewodniczącemu Związku Józefowi Ślliszowi votum zaufania. Wybuchło zamieszanie. Z rąk Janowskiego mikrofon przejął Żabiński. Poddał wniosek pod głosowanie. Ktoś protestował, ktoś domagał się powtórnego głosowania.. Komisja skrutacyjna dwukrotnie musiała liczyć głosy, aby ostatecznie ogłosić wynik. Na 414 delegatów tylko II głosowało przeciw, i kilkunastu się wstrzymało. Józef Ślisz odniósł niebywały sukces. Odśpiewano mu po raz drugi, pierwszy wcześniej z okazji imienin - sto lat. Ale burza nie ustała. Gabriel Jankowski odzyskał wreszcie mikrofon. Dramatycznym, pełnym napięcia głosem, zaczął mówić o swoich zasługach dla Związku, o swoim zaangażowaniu i o tym, że jego praca nie jest doceniana. Wreszcie rozpłakał się i ... kontynuował pracę jako przewodniczący obrad. Czynił to zresztą przez cały czas bardzo sprawnie.

Po przerwie obiadowej było jasne, że Gabriel Janowski bynajmniej nie zrezygnuje z walki o fotel przewodniczącego. Wyraził to całkiem otwarcie rzecznik prasowy Jacek Szymanderski w czasie konferencji prasowej. - Wprawdzie Józef Ślisz otrzymał zdecydowane poparcie delegatów - stwierdził Szymanderski - ale mandat przegłosowano poza porządkiem dziennym i dlatego może się okazać, że grupa delegatów wystąpi o ponowne głosowanie.

Teraz chodziło tylko o to kiedy to nastąpi. Jeśli później, to z pewnością część delegatów wyjedzie, zostaną województwa podwarszawskie, a wówczas układ sił na sali będzie inny. Dyskusja nad programem Związku doskonale się nadawała do przedłużania obrad. Gabriel Janowski, jako przewodniczący zjazdu miał wielki atut w ręku. O godzinie 22 -giej uznał , że nastąpił odpowiedni moment i ruszył do ataku:

- Z ciężkim sercem musze stwierdzić, że Związek nasz jest bardzo słaby i nieprzygotowany do czekających go zadań. Moje dobre chęci i całe poświęcenie na nic się zdały. W prezydium nie znajdowałem zrozumienia. Większość moich projektów spotkała się ze sprzeciwem. Kto od jutra będzie ten Związek budował ? - pytał dramatycznym głosem. Ja osobiście jako Gabriel Janowski, przeżywam tragedię. Nie widzę możliwości kontynuowania tej pracy. Dlatego żądam, aby członkowie Prezydium powiedzieli, co jest przyczyną nieskuteczności działania?

Gromkie oklaski pozostałych na sali delegatów były wyrazem aprobaty żądań przewodniczącego obrad.

Nastąpiła najbardziej dramatyczna chwila. Bo oto wszedł na trybunę najpierw Balazs, potem Baumgart, następnie Beszta-Borowski i Wiak - ludzie wielce zasłużeni dla Związku, założyciele TKR RI, a ostatnio sprawdzeni negocjatorzy przy Okrągłym Stole i.. złożyli rezygnację z pracy w Radzie i Prezydium. Chęć pracy w Prezydium wyraził jedynie Jan Kozłowski i Zbigniew Rokicki, a Roman Bartoszcze pytał przeciwko komu są te rezygnacje?

Sala została jakby sparaliżowana. Czuło się podniecenie i zdenerwowanie. Odezwały się pierwsze głosy dezaprobaty. Wówczas doc. Wanda Pomianowska złapała za mikrofon i zawołała:

- Ludzie, opamiętajcie się! Ogarnęło was szaleństwo. Stanowczo do tej demokracji nie dorośliśmy. My tych rezygnacji przyjąć nie możemy. Dziwię się Gabrielowi - mówiła dalej - że zmierza on do rozbicia Związku. Zrobiłeś tak wiele, dlatego nie kieruj się prywatą. Nie wolno doprowadzić do rozbicia Związku. Gabriel, ja cię serdecznie proszę, podajcie sobie ręce.. Sala i tym razem bije brawo. Głos zabiera milczący dotychczas Józef Ślisz: - Gdy przyjmowałem funkcję przewodniczącego, to postawiłem warunek, że będę sobie mógł dobrać odpowiednich ludzi. I takich właśnie dobrałem. Ja ich rezygnacji - nie przyjmuję. Jutro nas znów czeka ciężka praca przy Okrągłym Stole. Nie będziemy tam zmieniać ekipy. Prace zaczęte muszą być dokończone. Musicie pozostać. Musimy wspólnie doprowadzić sprawy okrągłego stołu do końca, a - Związek do legalizacji. Na normalny zjazd przyjdzie pora później. Teraz poddaję mój wniosek o udzielenie Prezydium absolutorium pod głosowanie.

Zdecydowana większość podnosi mandaty do góry. Jest godzina 23.00.

Zjazd kończy obrady.

Niespełna miesiąc po tych wydarzeniach – 20 kwietnia 1989 roku – Sąd Rejonowy w Warszawie rejestruje Niezależny Samorządny Związek Rolników Indywidualnych „Solidarność.” Ale na tym nie koniec batalii Janowskiego o przywództwo w Związku. Znów posłużę się własnym tekstem z „AR-a”.

„Nie zmienia się koni podczas przeprawy”

Zjazd nie przyniósł Janowskiemu tak upragnionego celu - nie uczynił go przewodniczącym Związku. A wręcz odwrotnie, pełny sukces odniósł Józef Ślisz uzyskując od Zjazdu niemal jednogłośne poparcie. Na 414 delegatów tylko II głosów było przeciwko niemu. Każdy polityk wyciągnąłby z tego faktu odpowiednie wnioski. Każdy, ale nie Gabriel Janowski. On jest politykiem niecierpliwym. Dla niego czas - zdaje sobie z tego sprawę- bezpowrotnie ucieka. A zatem co się nie udało na Zjeździe on i jego zwolennicy postanowili wygrać na krajowej radzie. W dniu 2 kwietnia 1989 roku. I znów doszło do gorszących scen. W obliczu ogromnych zagrożeń rolnictwa Rada znów musiała zajmować się przez wiele godzin personalnymi rozgrywkami. Tym razem przeciwko Józefowi Ślliszowi i jego najbliższym współpracownikom wystąpił Radom. Atak był sprytnie pomyślany. Szturm przypuścił Witold Rak a do przeczytania zaskakującej uchwały wyznaczono leciwego starca z akowskimi odznaczeniami. On to drżącym głosem domagał się nagany

dla przewodniczącego i potępienia w czambuł Balazsa i Baumgarta. I za co? Ano za to, że rzekomo w czasie Zjazdu nie zachowywali się w porządku.

Można powiedzieć, każdemu wolno mieć swoje własne zdanie i przejść do porządku dziennego. Ale nie był to wygłup jednego czy dwóch ludzi. Natychmiast do ataku ruszyła cała plejada zwolenników Janowskiego. Przestały się liczyć sprawy Związku, nieważne się stały sprawy obrad Okrągłego Stołu - a ważne się stały porachunki. Radny (nazwisko) z Łodzi, który zawsze ma ręce złożone do modlitwy, tym razem powołując się na Boga , kłamał jak z nut. Dla niego Baumgart w Częstochowie (było tam takie jedno spotkanie TKR RI), atakował Janowskiego a wszyscy pamiętamy, że było odwrotnie, Baumgart się tyko bronił, chociaż używał do tego nie najlżejszej broni. On, ów radny słyszał w Częstochowie nawet słowa Balazsa, chociaż wiadomo, że akurat tym czasie Balazs był nieprzerwalnie od dwóch tygodni wśród strajkujących portowców Szczecina. Doszło nawet do tego, że Józefowi Śliszowi jeden z dyskutantów zarzucił, że zabiera głos poza kolejnością, krzycząc w niebogłosy o łamaniu zasad porządku i demokracji. Dopiero przewodniczący obrad, Józef Kowalczyk zwrócił mu uwagę, że jemu.. też nikt głosu nie udzielił. Zacietrzewienie, nienawiść, dintojra. I o co chodzi?

Czas powiedzieć kilka słów prawdy. Słowa te są potrzebne tym, którzy podczas Zjazdu głosowali za Józefem Śliszem. To oni, a nikt inny dali mu mandat do najbliższego zjazdu, czyli do grudnia tego roku. Tego faktu nikt nie zdoła zmienić. On jest przewodniczącym i on dobiera sobie takich współpracowników, którzy najlepiej pilnują spraw Związku. Do niedawna zresztą jego najbliższym współpracownikiem był właśnie Gabriel Janowski. Szybko jednak zorientował się, że nie jest to partner lojalny. I dlatego do współpracy zaprosił Baumgarta, Balazsa, Edwarda Małeckiego, Jana Besztę-Borowskiego, Mariana Wiaka. Tandem ten osiągnął wiele znaczących sukcesów. To nie prawda, że Związek jest słaby i nie rozwija się. Fakty temu przeczą wyraźnie. Przede wszystkim Józef Ślisz zdołał nawiązać dobre stosunki z „S" robotniczą i przy poparciu Lecha Wałęsy wszedł jako równorzędny partner do obrad Okrągłego Stołu. Otoczył się wybitnymi ekspertami, że wymienię tylko prof. Stelmachowskiego. Przedstawiciele rolniczej „S" zdominowali stolik rolniczy. Tu zdołali przeforsować w zasadzie wszystkie postulaty, co jest ogromnym sukcesem. Znaczącymi postępami zakończyły się obrady stolika samorządowego i prasowego. NSZZ RI ma np. zagwarantowany własny tygodnik. Przy stoliku związkowym zapadła decyzja o legalizacji NSZZ RI „S".

[...]

Innymi słowy „S" kierowana przez Janowskiego byłaby organizacją osamotnioną, będącą niemal w konflikcie z „S" robotniczą i bez błogosławieństwa w Kościoła. Czy można sobie wyobrazić coś gorszego? Czy można było dopuścić do takiej ewentualności? I jeszcze jedno. Część prasy pisząc o konflikcie w Prezydium próbowała skierować całą uwagę na Baumgarta, twierdząc, że on stworzył grupę przeciw Janowskiemu. Jest to pozorny konflikt. Baumgart nie ma żadnej grupy, aczkolwiek ma bardzo duże wpływy. W tym konflikcie jest lojalny wobec przewodniczącego i robi wszystko, aby wzmocnić jego siły. Jedyną grupę frakcyjną stworzył Janowski i od początku do końca zmierza do obalenia Józefa Ślisza.

Gabriel Janowski pamiętając swoje niepowodzenia przy stoliku gospodarczym, wyraźnie dążył do zerwania obrad Okrągłego Stołu. Dawał temu wyraz w Rzeszowie, a najdobitniej podczas posiedzenia TKR RI w Wilanowie w dniu 4 kwietnia. Wówczas stwierdził publicznie, że rolnicy zostali przez wszystkich przy Okrągłym Stole oszukani. Dlatego muszą tworzyć trzecią siłę - dodawał zaraz - zdolną do odwrócenia koła historii. To stwierdzenie spotkało się z aplauzem jego zwolenników.

Trzecia siła - jak to ładnie brzmi. Tylko trzeba nie chodzić nogami po ziemi, żeby w coś takiego uwierzyć. W tych poglądach Janowskiego, czy tego chciał czy nie chciał, był bardzo bliski OPZZ i Alfredowi Miodowiczowi. Rolnicy zrywający obrady Okrągłego Stołu, w obliczu dużego wrzenia społecznego na wsi, byliby sami, zdani na łaskę i niełaskę komunistów. Dlatego do tego nie wolno było dopuścić. Zmiana na stanowisku przewodniczącego podczas obrad Okrągłego Stołu, byłaby nieobliczalnym błędem. [...]

Dziś przepisując ten tekst, widzę moje wyraźne zaangażowanie po jednej stronie. Innymi słowy był to w samej istocie komentarz stronniczy. Tłumaczy mnie tylko jedno: podpisałem go pełnym imieniem i nazwiskiem, bo tak po prostu myślałem. Późniejsze doświadczenia z Gabrielem Janowskim potwierdziły mi jedno, że tacy ludzie jak on, nawet kiedy zostają ministrami rolnictwa, nie są w stanie odegrać żadnej roli. Ich egocentryzm paraliżuje ich działanie. Ponieważ nie akceptują żadnego kompromisu, najczęściej za cenę utraty nawet swej wiarygodności, gotowi są postawiać na jedną szalę dosłownie wszystko. Wtedy zapominają nie tylko o taktyce, ale i bardzo często o celu jaki chcą osiągnąć. Ten sam Gabriel Janowski parę dni później po wilanowskim spotkaniu, wyprowadził na ulice Warszawy kosynierów w proteście... przeciwko ustaleniom Okrągłego Stołu, przy którym sam zasiadał. Ale i ten protest przeszedł bez echa, bo już nic nie było w stanie przeszkodzić zbliżającym się w szybkim tempie wyborom. Zresztą Janowski, jak to często u takich ludzi bywa, zdołał zmobilizować zaledwie kilkunastoosobową grupę, która w krakowskich strojach paradowała przy namiestnikowskim pałacu.

Mieczysław Kaczanowski

Henryk Grela (1936 – 1982)

Serce nie wytrzymało

Z bólem przyjęliśmy wstrząsającą wiadomość o nagłej śmierci, na skutek wylewu krwi do mózgu, naszego Kolegi Henryka Greli. Był inicjatorem strajku solidarnościowego w Polskiej Żegludze Morskiej, w sierpniu 1980 r. Był aktywnym członkiem prezydium Komisji Zakładowej „Solidarności" w PŻM, członkiem Komisji Rewizyjnej przy Zarządzie Regionu „Solidarności" Pomorza Zachodniego. Swoim przykładem, skromnością i koleżeństwem zjednywał sobie każdego, był człowiekiem, który nie znał pojęcia „czas prywatny". Cały zasób swojej energii poświęcał innym. Za swoją działalność związkową, a w szczególności za aktywną postawę w pierwszych dniach stanu wojennego znalazł się na liście internowanych. 20 grudnia 1981 r. przewieziono Go do więzienia w Goleniowie, gdzie od 13 grudnia 1981 roku więziona była już kilkudziesięcioosobowa grupa działaczy ze Szczecina. Od lat cierpiał na zaburzenia ciśnienia krwi. Jego choroba została w sposób bestialski wykorzystana przez SB. Podczas przesłuchań był On straszony sankcjami karnymi za dotychczasową działalność, a kiedy przesłuchujący (doskonale zapewne zorientowany o stanie zdrowia Heńka) dochodził do wniosku, że ciśnienie dostatecznie już wzrosło, następowały propozycje kolaboracji i podpisywania jakichś deklaracji, itp. W obecności SB-ków Heniek trzymał się dzielnie, każdą jednak tego typu „rozmowę" odchorowywał ciężko. Dochodziło nawet do wzywania w środku nocy pogotowia lekarskiego do ciężko chorego.

Do drastycznego pogorszenia zdrowia Heńka doszło po przeniesieniu naszej grupy do więzienia w Wierzchowie Pomorskim. Stałą, perfidną indagację, presję psychiczną i fizyczną, jaką wobec wszystkich uwięzionych, a szczególnie wobec Heńka uprawiali funkcjonariusze Służby Więziennej i SB przypłacił ciężką chorobą. Szczególnego podkreślenia wymagają dwie daty, 30 stycznia 1982 r. i 13 lutego 1982 r. w styczniu internowani, na znak poparcia proklamowanego przez prezydenta Reagana „Dnia solidarności z Polską" podjęli głodówką. Głodował również Heniu. Służba Więzienna chcąc ukarać więzionych za tę akcję, umieściła czterech z nas w karcerze. Był także wśród nas i On. Tak jakby mało było umieszczenia w specjalnej celi, służba więzienna, pod osobistym nadzorem naczelnika zakładu mjr. Gadomskiego oraz bandyty w stopniu porucznika o nazwisku Ambryszewski, w niedzielę 31 stycznia 1982 r., przy pomocy pałek usiłowała wytłumaczyć czterem odizolowanym, dlaczego nie będą wraz z resztą internowanych na Mszy św., odprawianej tego dnia przez biskupa koszalińskiego Ignacego Jeża. Akcję obserwował oparty o kraty, rozkraczony jak gestapowiec major Gadomski. Heniek czując, że jest z nim źle błagał majora o możliwość spowiedzi i Komunii św. Pytał czy naczelnik ma w ogóle sumienie? W odpowiedzi usłyszał, że takich jak On to naczelnik ma na sumieniu wielu, lecz nic sobie z tego nie robi. Interweniować musiał lekarz, przybył także ksiądz, którego na specjalną prośbę, uczestniczących we mszy św. kolegów przysłał ks. biskup. Po komunii św. Heniek wolno przyszedł do siebie.

Podobnie było 13 lutego 1982 r., kiedy za pomocą pałek chciano nas zmiękczyć. W wyniku tej akcji pobito 46 kolegów. I znów Heniek odchorowywał ciężko to zajście. W wyniku stanowczego nacisku wizytujących więzienie przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy, w kwietniu zwolniono Heńka z więzienia. Stanowczości niestety zabrakło lekarzowi więziennemu (był on zresztą na usługach SB). Wyjście z więzienia nie oznaczało wcale odzyskania wolności. Cierpiący pod jarzmem „WRON-y" Polacy, a szczególnie tacy jak Heniek byli stale obiektami szykan ze strony bezpieki. Także Heniek był częstym „gościem" gmachu przy ul. Małopolskiej 47, gdzie mieściła się Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Szczecinie. Nigdy nie wiedział czy znów nie zostanie umieszczony w więzieniu. Ci, którzy go znali z przerażeniem obserwowali pogarszający się stan zdrowia kolegi. Dziś kiedy dotarła do nas wieść o Jego śmierci, obok bólu jaki czujemy, nie możemy milczeć. Heniek stał się kolejną ofiarą bandyckich metod, z całą bezwzględnością wymierzonych, prze pozbawionych skrupułów oprawców z SB i będących na ich usługach funkcjonariuszy służby więziennej. Oni to ponoszą całą odpowiedzialność za ten mord. Tych których znamy z nazwiska – przedstawiliśmy. W ich cieniu pozostaje grupa tzw. „opiekunów" Polskiej Żeglugi Morskiej z ramienia SB. Ich nazwisk jeszcze nie znamy. Odszedł nasz wypróbowany kolega, wspaniały Człowiek. Pokój Jego duszy!

Zdjęcie ze zbiorów Kazimierza Nowotarskiego

Grupa przebywających w Szwecji kolegów. 24 VIII 1982 r.
(wg. audycji RWE z 4 IX 1982 r.)

„Henia pożegnaliśmy godnie, niosąc Jego trumnę na ramionach od dawnej Kaplicy przed bramą główną szczecińskiego Cmentarza Centralnego do miejsca spoczynku, nieopodal alejki wiodącej do drugiej bramy. SB-cja nie chciała się na ten pieszy kondukt zgodzić lecz w końcu ustąpiła. Mowę pożegnalną wygłosił Kazimierz Nowotarski, kolega Henia jeszcze z lat pięćdziesiątych, ze szkolnej ławy z Technikum przy ulicy Racibora. Dwa dni po pogrzebie Henia, Nowotarski otrzymał kilka zdjęć z Jego pogrzebu, pokazywał je kolegom z pionu technicznego PŻM. Jakiś kapuś-domownik musiał o tym donieść SB, bo po paru godzinach zabrali Nowotarskiego, razem ze zdjęciami na Małopolską. Pomimo wniosku Kazimierza Nowotarskiego do Komisji Krajowej i Zarządu Regionu „Solidarności" o przyznanie Heniowi odznaczenia państwowego do dziś Jego rodzina nie doczekała się odpowiedniego uhonorowania".

Krzysztof Kubicki (1944 – 1984)

Człowiek prawy

Krzysztof Kubicki urodzony 30 czerwca 1944 roku w Warszawie, syn powstańca warszawskiego umęczonego później w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, oraz więźniarki Pawiaka i Majdanka.

Do Szczecina przyjeżdża z matką po zakończeniu wojny. Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Zawodowej Budowy Okrętów przez 10 lat Krzysztof Kubicki pracuje jako monter kadłubowy, potem z powodu kontynuowania nauki zatrudniony zostaje w Dziale Gospodarki Magazynowej będąc kierownikiem magazynu. Podczas tej pracy zaprzyjaźnił się z Marianem Jurczykiem.

Gdy w Stoczni im. A. Warskiego wybucha Grudzień ’70 w komitecie strajkowym działa razem z Jurczykiem. W 1980 roku ma za sobą 21 lat pracy w stoczni, a także pierwszy /w 1977 roku/ zawał serca. Doświadczenia lat owocują organizowaniem wspólnie z Marianem Jurczykiem w Sierpniu ’80 strajku w stoczni. W dniu 17 sierpnia 1980 r. w godzinach rannych, kiedy atmosfera w stoczni gęstnieje, ale jeszcze nic nie było wiadomo, zdecydowane działanie nielicznej grupy, w której rej wodził Krzysztof zadecydowało o strajku. Przewodniczącym Komitetu Strajkowego zostaje Marian Jurczyk między innymi dlatego, że On rezygnuje z tej funkcji, bo – jak wtedy mówił – miał „trudności z wysłowieniem się przed większym zgromadzeniem”. Jako przedstawiciel wydziału organizuje wtedy także ochronę zakładu.

Po podpisaniu Porozumienia Szczecińskiego zostaje członkiem zarządu Międzyzakładowej Komisji Robotniczej w której działa do czerwca następnego roku. Jako członek szczecińskiego MKR-u bez reszty oddaje się tworzeniu „Solidarności”. W wielu zakładach pracy naszego miasta, a także w Gdańsku /jako reprezentant KKP/, na Śląsku i na Mazowszu bierze udział w licznych zebraniach założycielskich NSZZ „Solidarność”. Okazał wielki talent w pozyskiwaniu ludzi, umiał rozmawiać, zdobywać sympatię, godzić zwaśnionych i organizować współpracę. Był działaczem „sztabowym”, stał w cieniu, ale wiele najważniejszych decyzji zapadało po wysłuchaniu jego opinii i ocen. Miał „wielkiego nosa”, wyraźnie wyczuwał nastroje i opinie środowisk robotniczych. Znał się na ludziach.

W czerwcu 1981 roku wraca do „Warskiego”, gdzie działa jako członek Prezydium Stoczniowej Komisji Zakładowej „Solidarności”, a także wspólnie z więźniem sumienia Andrzejem Milczanowskim angażuje się w niezwykle ważne dla Polski i „Solidarności” organizowanie podstaw do tworzenia się samorządów pracowniczych poprzez tzw. „Sieć”, czyli porozumienie 17 największych przedsiębiorstw kraju. Oddaje się i innym inicjatywom: Komitety Obrony Więźniów za Przekonania, organizowanie uroczystości X rocznicy Grudnia ’70 w Szczecinie, Święto Konstytucji 3 Maja i wielu, wielu innym działaniom. Na zjeździe w regionie zostaje wybrany delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku-Oliwii. Wiele inicjatyw regionalnych, kontaktów z innymi regionami i działaczami, sympatia jaką cieszył się Szczecin – było zasługą Krzysztofa. Był nieoceniony w informacjach i plotkach kuluarowych, które w takim samym stopniu kształtowały Zjazd jak i oficjalna sala obrad.

Zdjęcie ze zbiorów Pawła Szewczyka

Kiedy w grudniu 1981 roku, w okresie narastającego napięcia w Polsce, w „Warskim” trwa gotowość strajkowa 9 grudnia podczas dyżuru w stoczni Krzysztof Kubicki ma drugi zawał serca i w stanie bardzo ciężkim przewieziony zostaje do szpitala, gdzie pozostaje do 2 lutego 1982 r. W szpitalu dowiaduje się, że „za próbę zakłócenia porządku na zakładzie w dniu 13 grudnia 1981 r. zostaje wyrzucony z pracy z dniem 17 grudnia 1981 r. 9 lutego 1982 r. terenowa Komisja Odwoławcza decyduje się anulować zwolnienie z pracy. Krzysztof Kubicki jednak ze względów zdrowotnych pracy podjąć nie może. Ma trudności z przejściem na rentę. Po ponownym pójściu do szpitala – na miesiąc – dowiaduje się o przejściu na rentę.

Służba Bezpieczeństwa cały czas pamięta o Nim. Po zajściach z 1 i 3 maja 1982 r. w Szczecinie zostaje zatrzymany w dniu 9 maja. Dalsze zatrzymania i przeszukania w domu mają miejsce w sierpniu i listopadzie tego roku. SB doskonale zdaje sobie sprawę ze stanu Jego zdrowia, oświadczając Mu: „Nie chcemy, żeby stało się to u nas, ale poradzimy sobie z Tobą”. A radzili sobie dobrze. Pomogły im w tym warunki w Ojczyźnie, sytuacja oczernianej i poniżanej „Solidarności” i wynikająca stąd, zdaniem Krzysztofa Kubickiego, również i jego konieczność zaangażowania się w organizowanie wyjazdów na widzenia z Andrzejem Milczanowskim i innych więźniów politycznych między innymi z więzienia w Potulicach.

Dzisiaj okazuje się, że najbardziej potrzebującym pomocy był On, zdrowie bowiem gwałtownie się pogarszało. W grudniu 1983 r. Krzysztof znów idzie do szpitala, lecz tym razem stąd nie wraca. Umiera 2 lutego 1984 roku o godz. 22.00.

Osierocił dwoje dzieci – 12 letnią córkę i 6 letniego syna, oraz żonę.

Oddanie ideałom „Solidarności” w „Warskim” i całym Szczecinie nie pozwolą zapomnieć o tym Człowieku i Jego najbliższych.

[Jerzy Zimowski]

„Grot”. Pismo TKZ „S” Stoczniowców, 6 II 1984 r.

Aleksander Krystosiak (1922 – 2002)

Prawdziwy opozycjonista

Były żołnierz Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych. Mimo ubeckich prześladowań i więzienia, działał w opozycji antykomunistycznej do końca. Organizował strajki w 1970 i 1980 roku w Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Parnica". Po stanie wojennym aktywnie wspierał szczecińskie podziemie. – To prawdziwy opozycjonista – mówią zgodnie przyjaciele Aleksandra Krystosiaka z okresu komunistycznego.

Aleksander Krystosiak urodził się w 1922 roku w Godlewo – Warszach w powiecie Ostrów Mazowiecki. Miał brata i siedem sióstr. Ojciec Aleksandra był rolnikiem cieszącym się dużym autorytetem we wsi. Wybierano go dziesięć razy sołtysem , działał też społecznie w Kasach Stefczyka. – To właśnie po ojcu Olek odziedziczył twardy charakter – wspomina pani Alina żona Krystosiaka. – Ale też i miłość do Ojczyzny, za co ponosił konsekwencje.

Tuż po ukończeniu Technikum Mechanicznego im. Stanisława Konarskiego w Warszawie wybuchła wojna. Został żołnierzem NSZ-AK. Następnie wstąpił do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Ujawnił się w 1947 roku, a rok później został aresztowany przez UB.

Ze wspomnień Aleksandra Krystosiaka z czasów stalinowskich: „Dziesięciu z nas doszło do rozprawy przed sądem wojskowym. Tam się nie kozakowało, ale powiedziałem – wysoki sądzie, skąd ja mogłem wiedzieć, że wszystkie akcje AK były ściśle uzgadniane z Gestapo? Nie wiedziałem, że wyjdzie tak zjadliwie. Dostałem dwanaście lat, a miałem już żonę i dziecko ."

Wielu żołnierzy AK, wychodziło ze stalinowskich więzień z przetrąconymi kręgosłupami. Nawet we wspomnieniach nie wracali do dawnych czasów. Nie dotyczyło to Aleksandra Krystosiaka.

- Był bardzo twardym mężczyzną – wspomina żona Aleksandra Krzystosiaka. - W czasach stalinowskich siedział w więzieniu z wieloma znanymi żołnierzami AK i NSZ. Mimo ciężkiego więzienia, nie złamał się. Przy tym nigdy nie udawał bohatera, nie twierdził, że się nie boi, ale mimo tego zawsze działał dla dobra Ojczyzny. Robił to dla siebie i kraju, w którym się urodził, takie miał idee i zasady. Mówił: „najpierw daj i nie licz koniecznie, że ktoś ci za to podziękuje".

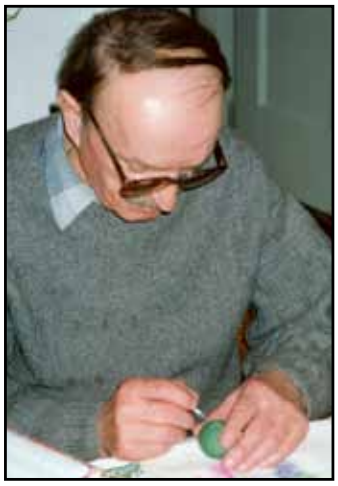

Zdjęcia ze zbiorów Aleksandry Krystosiak

W 1956 roku, po wyjściu z więzienia Aleksander Krystosiak zatrudnił się w Szczecińskiej „Parnicy". W 1970 roku brał czynny udział w strajkach. W jego wspomnieniach czytamy: „Już od rana stocznia Parnica była otoczona czołgami. Lufy były wycelowane w nas. Tośmy poprosili przez płot żeby powykręcali lufy bo im je odłamiemy. To oni je wykręcili w druga stronę."

Potem w sierpniu 1980 roku „Parnica" jako pierwsza rozpoczęła strajki w Szczecinie. Stąd delegacja protestujących pojechała do Stoczni Szczecińskiej im Adolfa Warskiego.

Stanisław Wądołowski: - Aleksandra poznałem podczas strajków w sierpniu 1980 roku. Razem siedzieliśmy przy jednym stole negocjując wtedy z rządem Porozumienia Sierpniowe. Olek był naszym mocnym punktem. Był jednoznaczny, nie można go było kupić. Był przykładem dla innych.

Pamiętam, że pomimo wielu lat spędzonych w stalinowskich więzieniach, Krystosiak był zawsze uśmiechnięty, za to go cenili przyjaciele. Robił wszystko w najlepszym interesie dla Polski i dla drugiego człowieka. Miał doświadczenie już ze strajków z 1970 roku.

Od sierpnia 1980 roku Aleksander Krystosiak całym sercem zaangażował się w „Solidarność". Był przewodniczącym Komisji Robotniczej w „Parnicy", członkiem MKR i w końcu wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Pomorze Zachodnie. Reprezentował swój zakład pracy na I Walnym Zebraniu Delegatów w regionie oraz na I zjeździe „Solidarności" w Gdańsku-Oliwie. W czasie stanu wojennego spędził cztery miesiące w ośrodku odosobnienia w Darłówku. Po zwolnieniu z internatu zaangażował się w konspirację solidarnościową, był swoistym patronem dla działaczy Związku skupionych w północnozachodnich dzielnicach Szczecina. W 1987 r. wspierał szczecińską strukturę PPS-u. Wolną Polskę powitał w USA gdzie wyjechał w 1988 r. po strajkach sierpniowych, a do kraju powrócił w roku 1996.

Aleksander Krystosiak zmarł 17 sierpnia 2002 roku.

Tomasz Duklanowski

Wiesław Milewski (1955-2005)

Wiesiek był stale w „Solidarności”

Wieśka poznałem w Stoczni w 1983 roku. To był trudny czas, po stanie wojennym, internowaniach wielu działaczy, odtwarzaliśmy w różny sposób działalność NSZZ „Solidarność”. Związek był zdelegalizowany, dlatego koncentrowaliśmy się m.in. na publikacjach wychodzących w warunkach podziemia. Krótka, można powiedzieć przypadkowa rozmowa na jednym z wydziałów Stoczni Szczecińskiej, w której obaj pracowaliśmy, zaowocowała naszą, jak się potem okazało wieloletnią, współpracą w „Solidarności” i w wielu działaniach po 1989 roku. Wiesiek należał do ludzi autentycznie ideowych, angażował się zawsze bez reszty w to, co robił.

Był zarazem niezwykle skromny i to tą skromnością pozbawioną jakiegokolwiek fałszu, czy kokieterii. Jego oddanie „Solidarności’ sprawiło, że przez lata był człowiekiem nieocenionym w działaniach, które prowadziliśmy. Kolportaż, konsekwentne zaangażowanie w próby rejestrowania w 1987 roku komitetów założycielskich „Solidarności”, potem już po legalizacji związku budowanie struktur w Szczecinie i terenie – to tylko niektóre z tych aktywności, w których powodzeniu Wiesiek odegrał szczególną rolę. Nigdy nie zwalniał, ciągle na „wysokich obrotach”, gdy przyszły czasy wolnej Polski Wiesiek oprócz pracy zawodowej i zaangażowania w ruchu solidarnościowym, podjął naukę, ukończył między

innymi studia magisterskie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Odpowiadając na potrzeby czasu stanęliśmy akurat wtedy wobec, nowego wówczas, zjawiska bezrobocia. Związek utworzył własne biuro dla osób pozostających bez pracy. I to właśnie Wieśkowi powierzone zostało kierowanie tym biurem. Zdobyte tutaj doświadczenie wykorzystał potem w kilkuletniej pracy w Urzędzie Pracy w Szczecinie.

Wiesiek był stale w „Solidarności”, nigdy nie narzekał i nawet wtedy, gdy coś go irytowało i toczyliśmy trudne dyskusje, nie zniechęcał się. Ta niezłomność charakteru miała szczególne znaczenie w akcjach wyborczych, w które związek przez lata w różny sposób był zaangażowany. To właśnie Wiesiek kierował w części, bądź w całości kampaniami wyborczymi. Był człowiekiem ambitnym w osobliwy sposób. Ambicja jego wyrażała się w wyjątkowej determinacji, w działaniach, a nie np. w zabieganiu o funkcje i zaszczyty, które mogłyby go osobiście wynosić.

Zdjęcia ze zbiorów Jerzego Milewskiego

Dyrektorowanie w szczecińskim „Polmozbycie” i przeprowadzenie przedsiębiorstwa przez proces prywatyzacji, a potem sprawowanie funkcji prezesa tej firmy stało się niestety ostatnim jego ziemskim zadaniem. Wiesiek odszedł nagle, można by powiedzieć, że padł w boju, na boisku sportowym – bo jego pasją było uprawianie sportu (koszykówka, bieganie). W każdą sobotę, po przebiegnięciu kilkunastu kilometrów, przychodził do naszego domu, piliśmy herbatę i zazwyczaj ostro dyskutując, komentowaliśmy bieżące wydarzenia. Wiesiek odszedł w biegu, zaangażowany, jak zawsze bez reszty, w budowanie perspektywy dla „Polmozbytu”. Czas był ciężki, a prawdziwych przyjaciół, których jak wiadomo poznaje się w biedzie, za wielu nie było. Na pewno zawsze mógł liczyć na solidarność „Solidarności”, dla której tak wiele uczynił. Kibicowałem Wieśkowi stale i wierzyłem w jego ostateczny sukces, bo ciężko na to pracował. Każdy z nas chciałby zostawić po sobie ślad, Wiesiek odcisnął go trwale w naszej pamięci, w pamięci ludzi „Solidarności”.

Wiemy dziś, że zdarzyło się nam wyjątkowe doświadczenie, możliwość pracy z człowiekiem prawym, oddanym bez reszty sprawom, w które się angażował, w które razem się angażowaliśmy, któremu można było ufać, na którym można polegać, z którym można było góry przenosić.

Longin Komołowski

Jerzy Zimowski (1941 – 2007)

Ironiczny inteligent

Przyjaźniliśmy się przez 44 lata, do Jego śmierci. Łączyły nas wspólne zainteresowania: miłość do książek i jazzu, długie dyskusje dotyczące polityki, historii, filozofii i literatury (często przy czerwonym winie).

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku z różnych źródeł zdobywaliśmy paryską „Kulturę" oraz książki z Biblioteki tego wydawnictwa: Hłaski, Gombrowicza, Miłosza, Pasternaka, Sołżenicyna, Amalrika. Po 1976 roku docierały do nas systematycznie: „Biuletyn Informacyjny" KSS „KOR", „Głos" oraz broszury i książki NOW-ej.

Pamiętam spotkanie z Janem Walcem w Szczecinie w 1979 r., w którym uczestniczyło około 10 osób, wśród nich Jurek Zimowski. W sierpniu 1980 roku obaj weszliśmy w skład Komitetu Strajkowego Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w Szczecinie, w którym przez szereg lat pracowaliśmy jako radcowie prawni. Później po sierpniowych strajkach działaliśmy w biurze prawnym szczecińskiej regionalnej „Solidarności", pełniąc również funkcje doradców w Prezydium Zarządu Regionu.

12 grudnia 1981 roku Jurek został internowany, przebywając kolejno: w więzieniu w Goleniowie oraz ośrodkach odosobnienia – w Wierzchowie i w Strzebielinku. Zwolniony został z internowania jako jeden z ostatnich – 23 grudnia 1982 roku.

Po wyjściu na wolność publikował w szczecińskich, podziemnych pismach „Obraz" i „Grot" ważne teksty dotyczące ówczesnych istotnych zdarzeń mających miejsce w Polsce i regionie Pomorza Zachodniego. Uważnie obserwował i analizował sytuację dotyczącą zarówno poczynań władzy jak też solidarnościowego podziemia. Miał świetne pióro. Dla przykładu wymienię Jego artykuł w numerze 9-10 z 1988 roku „Obrazu" pod tytułem „Drugi szczeciński sierpień", dotyczący strajków w Szczecinie w sierpniu 1988 roku.

Prowadził również wykłady w kościele oo. Jezuitów przy ulicy Pocztowej w Szczecinie, o tematyce historycznej, ale też wydarzeniach politycznych i społecznych ówcześnie dziejących się w Polsce i naszym regionie.

W 1984 roku włączył się do działalności nowo powstałej podziemnej struktury regionalnej „Solidarności" – Rady Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Regionu Pomorza Zachodniego, pełniąc funkcje doradcze.

W czasie strajku w szczecińskim porcie, WPKM i ZBK w sierpniu 1988 roku Jurek Zimowski wraz z Józkiem Kowalczykiem i Piotrem Janią byli łącznikami między szczecińskim a gdańskim MKS. Zawieźli wówczas do Gdańska pełnomocnictwo szczecińskiego MKS-u dla Lecha Wałęsy do prowadzenia w przedstawicielami władzy rozmów w sprawie przywrócenia „Solidarności" prawa do legalnego działania. Niezależnie od tego Jurek Zimowski zajmował się wówczas sprawami informacyjnymi dotyczącymi tego strajku, redagując wspólnie z Michałem Paziewskim „Biuletyn Strajkowy". Przez cały okres tego strajku Jurek pozostawał w łączności z Biurem „Solidarności" w Brukseli.

Zdjęcie ze zbiorów Michała Paziewskiego

Wiosną 1989 roku został członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Z trudem udało się Go namówić do kandydowania na posła. W tzw. Sejmie kontraktowym był współautorem ustaw o Policji, o Urzędzie Ochrony Państwa, o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych, uchwalonych w kwietniu 1990 roku. Premier Tadeusz Mazowiecki powołał Go na stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych 1 sierpnia 1990 roku, którą to funkcję pełnił do końca 1996 roku. Następnie aż do śmierci wykonywał w Warszawie zawód adwokata.

Był człowiekiem o wyrazistej osobowości, nieprzeciętnej inteligencji, racjonalnie oceniającym fakty i zdarzenia. Sceptycyzm był z jednej strony Jego zaletą, z drugiej pewną słabością. Miał duże poczucie humoru i dość często zabarwiał swoje wypowiedzi nutą ironii. Bezinteresowny, prosty i bezpośredni w obejściu, nie znosił celebry i kpił z nadętych ważniaków. Był fanatykiem kina, miłośnikiem muzyki i teatru, znawcą polskiej i światowej literatury. Miał „duszę artysty" zarówno w odczuwaniu otaczającego Go świata, jak też traktowaniu własnych potrzeb. Nie wymagał wiele od życia, swoje potrzeby materialne traktował minimalistycznie. Mówił w sposób dobitny, charakterystycznie akcentując część niektórych wyrazów, a niekiedy całe wyrazy. Przy pierwszym zetknięciu robił wrażenie „twardziela", na czym Mu zresztą zależało. W rzeczywistości był człowiekiem wrażliwym, mocno odczuwającym zdarzenia rozgrywające się wokół, a także dotyczące Jego osoby. Jerzy Zimowski był po stronie dialogu i fakt ów stanowił charakterystyczną i jedną z zasadniczych cech jego osobowości.

Zmarł 15 sierpnia 2007 roku. Był polskim inteligentem w najlepszym znaczeniu tych słów.

Andrzej Milczanowski

Mieczysław Lisowski (1918-2008)

Człowiek czynu

Najbliższy, niezawodny Przyjaciel. Nie zamierzam pisać życiorysu Mietka Lisowskiego. Życiorysu bogatego w wiele istotnych i dramatycznych wydarzeń. Wspomnę o niektórych. Poznałem Go w sierpniu 1980 roku, w czasie strajku w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej w Szczecinie, gdzie pracował jako kierowca autobusowy. W czasie późniejszych postrajkowych spotkań Mietek zadziwiał trzeźwością sądów. Ne brał udziału w swoistej licytacji radykalnych haseł. Wobec przedkładanych Mu propozycji wyboru na funkcje związkowe machał lekceważąco ręką stwierdzając: „na co mi to potrzebne, skoro trzeba to i tak pomagam." Po 15 grudnia 1981 r. docierały do mnie, do więzienia, informacje, że Mietek działa w podziemnej „Solidarności". Po wyjściu z więzienia (15 kwietnia 1984 r.) niezwłocznie spotkałem się z kilkoma osobami do których żywiłem pełne zaufanie i byłem pewien ich prosolidarnościowych postaw. Rzecz jasna, że jedną z tych osób był Mietek Lisowski, realistycznie oceniający sytuację w szczecińskim „podziemiu". W czasie wielu lat, „podziemnej", bardzo bliskiej współpracy z Mietkiem miałem okazję przekonać się o Jego szczególnych predyspozycjach i umiejętnościach do „knucia", o jego przebiegłości, lisim sprycie, o odwadze i zdolności do podejmowania ryzyka. Prawdziwy „Lis" jak Go nazywałem, zresztą nie tylko ja.

Przydało się Mietkowi przeszkolenie wywiadowcze przez przedwojenną polską „dwójkę", jakie przeszedł w 1939 roku. Przydało się doświadczenie wykonywanej przez Niego funkcji kuriera – przeprowadzającego ludzi, przenoszącego pieniądze, dokumenty i rozkazy z Polski do Rumunii i z powrotem jesienią 1939 r. i na początku 1940 r. Przydało się późniejsze doświadczenie ze śledztwa w szczecińskim UB, w pierwszych latach powojennych. Przez wiele miesięcy pobytu w więzieniu, nie dał się złamać. Nie bez znaczenia był udział Mietka w Wolnych Związkach Zawodowych Pomorza Zachodniego w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, w tym długotrwałe uczestnictwo w kolportażu „Robotnika".

Miał twardy charakter, silną wolę i żelazną samodyscyplinę. Był człowiekiem obowiązku. W czasie długoletniego zatrudnienia w WPKM nie spóźnił się ani razu do pracy. często cytował powiedzenie: „co masz zrobić jutro, zrób dziś, a co masz zjeść dziś, zjedz jutro". Jako sześćdziesięciokilkuletni rencista-emeryt przez miesiące, a w zasadzie lata codziennie wczesnym rankiem udawał się na końcowe przystanki autobusowe i tramwajowe kaptując kierowców i motorniczych do solidarnościowych poczynań. Jego zasługą było wydawanie „Termita", pisma podziemnej „Solidarności" WPKM, którego drukował często we własnym mieszkaniu, wspólnie z żoną Haneczką i Edwinem Łukasiewiczem (pracownikiem administracji WPKM).

Był organizatorem trzech strajków WPKM w 1988 r.: 5 maja, 22 czerwca oraz od 18 sierpnia do 3 września. Pamiętam, jak wczesnym wieczorem 4 maja 1988 r. gdy w rozmowie z Mietkiem akcentowałem potrzebę przeprowadzenia w Szczecinie strajku solidarnościowego z protestującymi w Nowej Hucie i Stoczni Gdańskiej, w pewnym momencie powiedział krótko: „będę się starał postawić jutro WPKM". Następnego dnia o godzinie piątej rano zadzwonił telefon w mieszkaniu Andrzeja Markowskiego, u którego się wówczas ukrywałem. Usłyszałem głos Mietka: „Dąbie stoi". Strajkowała tego dnia nie tylko zajezdnia autobusowa w Dąbiu, ale również i ta w Policach. Za kierowanie strajkiem w Dąbiu zwolnieni dyscyplinarnie z pracy zostali Józef Ignor i Romuald Ziółkowski. W ich obronie, 22 czerwca 1988 r. zastrajkowały wszystkie trzy szczecińskie zajezdnie autobusowe. Ignor i Ziółkowski zostali przywróceni do pracy.

Zdjęcie ze zbiorów Hanny Lisowskiej

Wreszcie 17 sierpnia 1988 r., po rozpoczęciu protestu strajkowego przez szczeciński Port, przekazałem Tadkowi Olczakowi list do Mietka, prosząc by następnego dnia postawił w stan strajku zajezdnie WPKM. Mietek, do którego list dotarł w godzinach wieczornych zorganizował protest strajkowy w komunikacji miejskiej już następnego dnia rano, 18 sierpnia, kiedy stanęły trzy zajezdnie autobusowe. 19 sierpnia podjęły strajk dwie (z trzech istniejących) zajezdnie tramwajowe. Trzeba było widzieć, jak przez wiele dni tego strajku Mietek opiekował się strajkującymi, dowożąc im żywność, napoje, papierosy, koce.

Warto wspomnieć, że na moją prośbę 17 sierpnia 1988 roku wczesnym wieczorem Mietek przywiózł z Gdańska 30 tysięcy dolarów dla podziemnej regionalnej struktury „Solidarności". Kiedy w czasie późniejszych dyskusji analizowałem okoliczności zorganizowania przez Niego wspomnianych trzech strajków WPKM, uśmiechał się lekko i patrząc na mnie jasnoniebieskimi, jakby wyblakłymi oczami powiedział: „wiesz, ja jestem frehowny". Miało to chyba oznaczać, że jest zuchwały.

Miał talent gawędziarza. Lubiłem słuchać jego opowiadań z różnych okresów życia. Mówił w sposób emocjonalny, barwnie, gestykulując, zmieniając natężenie głosu. Opowiadając jak fizycznie radził sobie z przeciwnikami, niekiedy na osobie rozmówcy demonstrował sposób obrony bądź ataku. Pamięć miał świetną, pamiętał nawet rocznik wzoru pistoletu jaki posiadał jesienią 1939 i na początku 1940 roku w czasie wypraw do Rumunii. „Wiesz – mówił – miałem wtedy parabellum null acht" (czyli wzór 1908 – Mietek dobrze znał niemiecki).

Po 1989 roku Mietek nie angażował się w przedsięwzięcia „nowego ładu". Powtarzał: „jestem od roboty, a nie od pustego gadania". Nową klasę polityczną oceniał krytycznie jako składającą się w większości z konformistów i karierowiczów. Często powtarzał, że Polacy nie dorośli do demokracji. Żył jak zawsze skromnie. Ludziom mówił prawdę w oczy i prosto z mostu. „Nowonarodzonym" radykałom powtarzał: „gdzieście wy byli w 1988 roku".

Mietek Lisowski „Ojciec Chrzestny Solidarności WPKM", jedna z najwybitniejszych postaci polskiej „Solidarności", zmarł 13 sierpnia 2008 roku. Był Człowiekiem Czynu.

Andrzej Milczanowski

Zbigniew Kowalewski (1949–2010)

Trzeba wziąć odpowiedzialność

Zbigniew Kowalewski urodził się 14 grudnia 1949 roku w Lęborku. Ze Szczecinem związał się na studiach medycznych. Jako absolwent Pomorskiej Akademii Medycznej, bezpośrednio po studiach, w 1973 roku rozpoczął praktykę lekarską w szczecińskim Szpitalu Kolejowym. Od sierpnia 1980 roku z całego serca włączył się w działalność solidarnościową. Stanął na czele Komitetu Założycielskiego, a następnie Komisji Zakładowej Związku w szpitalu. W okresie karnawału „Solidarności" przyszedł na świat jego najmłodszy syn. Zbigniew Kowalewski reprezentował środowisko medyczne podczas I Walnego Zebrania Delegatów NSZZ „Solidarność" Pomorza Zachodniego, aktywnie uczestniczył również w pracach Sekcji Ochrony Zdrowia przy Zarządzie Regionu.

Po wprowadzeniu stanu wojennego zaangażował się w działalność konspiracyjną. Działał głównie w środowisku medycznym, ale także współdziałał przy wydawaniu pism podziemnych. Bezpośrednio przed obchodami drugiej rocznicy Sierpnia '80, w przygotowanie których był zaangażowany, został internowany w ośrodku odosobnienia w Wierzchowie Pomorskim. W czasie internowania uczestniczył w jedenastodniowej głodówce zorganizowanej przeciwko wprowadzenie stanu wojennego. Po opuszczeniu zakładu karnego w Wierzchowie został z inspiracji SB przeniesiony do pacy w przychodni kolejowej. Ponownie aktywnie włączył się w konspirację solidarnościową, odpowiadał m.in. za wydawanie „KOS-a", współpracował również z wydawcami „Obecności". Swoje teksty podpisywał pseudonimem „Leszek". W tym okresie uczestniczył w pozyskiwaniu sprzętu i materiałów poligraficznych, koordynował i organizował kolportaż wydawnictw podziemnych dla środowisk medycznych regionu, pomagał osobom represjonowanym, współorganizował manifestacje i protesty, z dużym zaangażowaniem działał na rzecz konsolidacji związkowej swojego środowiska. Za udział w manifestacji 1-majowej w 1983 roku wnioskowano o ukaranie Zbigniewa Kowalewskiego karą finansową przed Kolegium ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Szczecin. Ostatecznie od ukarania odstąpiono ze względu na postanowienia ustawy amnestyjnej z lipca 1983 roku. W czasie przygotowań do kolejnej manifestacji 1-majowej, w 1984 roku SB przeszukała mieszkanie Kowalewskiego co zaowocowało aresztem, początkowo w Szczecinie, a następnie w Nowogardzie. Uwięzienie zakończyła kolejna lipcowa amnestia z 1984 roku.

Zdjęcie ze zbiorów Julity Kowalewskiej

Działalność konspiratora próbował łączyć z pracą zawodową, z rozwojem naukowym. Zamierzał zrealizować specjalizację II stopnia, jednak z inspiracji Służby Bezpieczeństwa odmawiano mu prawa do egzaminu. Stosowano maksymę, iż „lekarz o wrogiej i nieprzejednanej postawie politycznej nie powinien uzyskać takiej specjalizacji".

Po strajkach sierpniowych 1988 roku podjął próbę odbudowy struktur związkowych w środowisku medycznym, a od 1989 roku przewodniczył komisji zakładowej „Solidarności" Służby Zdrowia w Wojewódzkim Szpitalu Ftyzjo-Pulmonologicznym w Szczecinie–Zdunowie. W 2002 roku został szefem Sekcji Ochrony Zdrowia przy ZR Pomorze Zachodnie. W pierwszych w pełni wolnych wyborach do samorządu lokalnego, w 1990 roku, reprezentując „Solidarność" uzyskał mandat radnego Szczecina.

W 1999 roku udało Mu się zrealizować wcześniejsze zamierzenia, rozwijając się naukowo obronił doktorat, a w 2000 roku objął funkcję ordynatora Oddziału Chorób Wewnętrznych w Specjalistycznym szpitalu im. prof. A. Sokołowskiego w Szczecinie– Zdunowie.

Zbigniew Kowalewski, kochany mąż i ojciec trójki synów. Najmłodszy syn poszedł w ślady ojca, został lekarzem na Oddziale Chirurgicznym w Szpitalu w Zdunowie. Wspaniały dziadek. Jego pasją życiową było niesienie pomocy chorym. Uwielbiał wędkarstwo, każdą wolną chwilę spędzał nad wodą. Po przeniesieniu się na peryferia miasta, czas po pracy poświęcał swojemu wspaniałemu ogrodowi, w którym odnajdował ciszę i spokój. Był miłośnikiem zwierząt. Częstym zaskoczeniem pacjentów był widok kotki leżącej na kolanach Ordynatora w Jego gabinecie.

Jako Ordynator poddziału dzięki wielkiej determinacji i poświęceniu stworzył nowoczesny, dobrze wyposażony i komfortowy dla pacjentów Oddział. Pomimo wieloletniej choroby z poświęceniem, aż do śmierci pracował jako Ordynator niosąc pomoc chorym. Zmarł 5 sierpnia 2010 roku.

Artur Kubaj, Julita Kowalewska

Marzena Szczeglewska-Paziewska (1964 – 2010)

Marzena

Ile lat można być poetessą i ciotką rewolucji? – pokpiwała z siebie Marzena. – Ludzie w naszym wieku robią pieniądze, a nie tylko rozmawiają o tym, jak naprawiać Polskę. Tak mówiła chyba dziesięć lat temu. Jednak nigdy nie udało się wpaść do Marzeny na chwilę i ot tak, pogadać o niczym. Rozmowa zawsze schodziła na pryncypia, na to właśnie, jak Polskę naprawiać.

Nie lubiła odcieni, wierzyła w jasny podział na białe i czarne. Dlatego zaangażowała się w działalność opozycyjną, jeszcze podczas stanu wojennego, gdy szeregi tych, którzy walczyli z komuną, znacznie się przerzedziły. Jej nazwisko stało się głośne w Polsce w II połowie lat osiemdziesiątych, po spotkaniu studentów Uniwersytetu Szczecińskiego z Andrzejem Drawiczem, słynnym tłumaczem literatury rosyjskiej, wspierającym opozycję od czasów powstania „KOR-u" po 1989 r.

Głównym tematem spotkania była literatura rosyjska, ale nie tylko. Studenci nagrywali spotkanie, bo chcieli opisać jego przebieg w jednym z pism podziemnych. Gdy Drawicz wyjechał, rozpętało się piekło.

- Fala represji dotknęła wszystkich jego uczestników, były rewizje, zatrzymania. Z pracy wyleciały kierowniczka i portierka akademika. Gdy opowiadałem w Warszawie, co stało się w Szczecinie, nikt nie chciał wierzyć – wspomina Kotula. – Tam środowisko akademickie cieszyło się względną autonomią, władze uczelni wstawiały się za represjonowanymi studentami. W Szczecinie to było nie do pomyślenia.

Władze US usunęły z uczelni Marzenę Szczeglewską, uczestniczkę spotkania. Wtedy właśnie zaczęto o niej mówić. Że działa w opozycji. Że wygląda na delikatną, a jest twarda i nie sypie na przesłuchaniu nawet, jak esbecy ją poniżają, grożą. Na uczelnię nie wróciła. Pracę znalazła w sklepie chemicznym. Studia mogła skończyć dopiero wiele lat później, w wolnej Polsce. Była bardzo dumna, z obronionej pracy magisterskiej, postawiła kropkę nad i. A co do Drawicza? Uśmiechnęła się ironicznie, gdy w 1995 r. został doradcą lewicowego premiera ds. polityki wschodniej i zaczęły krążyć opowieści o przeszłości agenturalnej byłego opozycjonisty.

- I po co ja wtedy angażowałam się w to spotkanie z nim? – rozważała paradoksy historii.

Gdy wybuchły strajki w sierpniu 1988 roku dla Marzeny było oczywiste, że jej miejsce jest w strajkującym porcie. Właściwie krążyła między portem, a Pocztową, gdzie w podziemiach kościoła oo. Jezuitów szczecińska opozycja organizowała pomoc dla strajkujących i ich rodzin. Marzena dbała m. in. o zaopatrzenie, przewoziła komunikaty, ulotki. Działała, bo tak było trzeba.

Jeszcze w podziemnej „Solidarności" Marzena woziła bibułę z Warszawy, pieniądze dla opozycji. Ładna, zawsze z klasą, dobrze ubrana z dobrze ułożoną fryzurą blond włosów – to był jej sposób na trudne czasy – nie poddawać się. Paradoksalnie miała wzbudzać mniej podejrzeń mimo, że SB musiała zapamiętać niepokorną dziewczynę. A jednak osiągała cel. Była jedną z osób od „czarnej roboty" przy wyborach 1989 roku. Do historii przejdą ci, którzy nakreślali strategie, mrówki od pisania tekstów, składania gazet, robienia i rozlepiania plakatów, mozolnego wyszukiwania ludzi w regionie, którzy mogliby pomóc – zwykle pozostają w cieniu. Wśród takich mrówek przez lata była Marzena.

- Trudno było Marzeny nie zauważyć nie tylko dlatego, że była młoda i ładna – mówi Marek Siedlewski, dawny opozycjonista. – Jej w tej robocie zawsze było za mało, chciała jeszcze i jeszcze, stale coś wymyślała. Miała świetne kontakty, umiała załatwić rzeczy nie do załatwienia. Była skuteczna. Miała w sobie ducha walki.

Zdjęcie ze zbiorów Michała Paziewskiego

- Ona zawsze myślała o innych, o sobie nigdy, przynajmniej nie mówiła o sobie, zwłaszcza wtedy, gdy miała jakiś problem – opowiada Mirosław Witkowski, działacz opozycji demokratycznej.

Została sekretarzem Zarządu Regionu, rzecznikiem, czyli twarzą zachodniopomorskiej „Solidarności" na kilka lat. Nigdy potem związek nie miał takiego PR i popularności wśród dziennikarzy – informacje związkowe ukazywały się w mediach bardzo często.

Wkrótce po wyborach do parlamentu z 1997 roku, w które Marzena była zaangażowana całym sercem odeszła z Zarządu Regionu. Przez jakiś czas była bezrobotna.

- Gdy dowiedziałem się o tym, zaproponowałem jej pracę szefa PR w PZU, któremu wówczas w Szczecinie szefowałem – mówi Siedlewski. – Ona miała niesamowity potencjał. Wieloletnią wiedzę praktyczną wsparła jeszcze studiami podyplomowymi z PR, zrobionymi na dobrej uczelni. Potem do końca życia pracowała w dziale promocji Urzędu Miasta Szczecin.

Już wtedy była ciężko chora. Gdy informowała, że na jakiś czas musi iść do szpitala, nigdy nie było w jej głosie skarżącego się tonu, zawsze jakaś hardość. Wiara, że uda się zwalczyć chorobę, udzielała się tym, którzy kupowali tę hardość bez wnikania, co jest pod spodem.

- Dopiero niedawno dowiedziałem się, że gdy choroba zaatakowała po raz drugi, załamała się – mówi Mirosław Witkowski. – Wcześniej przez jej zachowanie przez myśl mi nie przeszło, że może być aż tak źle. Cholernie mi przykro, że nie zdążyłem zapytać, jak się czuje.

Ale Marzena takich pytań nie lubiła. Denerwowały ją.

- No, co mogę na nie odpowiadać, w kółko to samo? – wybuchła kiedyś. Wolała opowiadać o bardzo udanym małżeństwie, jak kochała i była kochana, o bajkowym ślubie, którego ceremonię w tajemnicy mąż przygotowywał przez wiele miesięcy, o każdym szczególe wspólnie urządzanego mieszkania i szczęśliwego życia, które traktowała, jak coś szczególnie cennego, co należy chronić za wszelką cenę. Ironizowała wskazując perukę.

- A w ogóle, to pogadajmy, co zrobić, żeby klasa polityczna mniej zajmowała się sobą, a więcej miastem, czy regionem – naprowadzała rozmówcę na właściwy temat.

Nie cierpiała pozorów, zaszczytów, akademii ku czci. Nawet Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, przyznany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, odebrała nie podczas specjalnej uroczystości, tylko kiedyś, przy okazji, bez kamer i mikrofonów.

Marzena Szczeglewska-Paziewska odeszła 5 grudnia.

Agnieszka Kuchcińska-Kurcz

Jan Otto (1939 – 2011)

Nauczyciel zakochany w wojsku

Janek Otto urodził się 26 marca 1939 r. Słonimiu miasteczku powiatowym dawnego województwa nowogródzkiego (obecnie na Białorusi) w okolicach którego Jego rodzina posiadała majątek. Armia polska prowadziła wówczas pierwszą (cichą) mobilizację przygotowując się na agresję ze strony III Rzeszy. Ojciec Janka kapitan Wojska Polskiego, służył wówczas w artylerii i w 1939 roku brał czynny udział w obronie Warszawy, a następnie walczył w ramach w armii dowodzonej przez Juliusza Rómmla. Po kapitulacji ojciec znalazł się w obozie w Gross Rosen gdzie spędził cały okres II wojny światowej, a po zakończeniu wojny powrócił na wolność, jak się okazało na krótko, bowiem szybko został ponownie uwieziony, tym razem przez bezpiekę. Na kilka lat trafił do komunistycznego więzienia. Janek wychowany był w tradycji niepodległościowej, kulcie Wojska Polskiego oraz dużego uznania i szacunku do ojca.

Janek Otto był osobą niezwykłej odwagi, potrafił bronić swoich racji. Pod koniec lat pięćdziesiątych gdy rozpoczął studia na Politechnice Szczecińskiej słysząc na zajęciach studium wojskowego, z ust jednego z oficerów prowadzącego zajęcia, szkalowanie przedwojennego Wojska Polskiego oraz żołnierzy AK, wstał i publicznie bronił dobrego imienia wojska, w tym swojego ojca. Spotkało się to z uznaniem nie tylko studiujących z nim kolegów, ale również niektórych prowadzących zajęcia oficerów. Jego postawa wywołała m.in. reakcję w postaci wypowiedzi majorów Surynta i Prochackiego, że nawet wśród studentów można by znaleźć kandydatów n oficerów, a płk Krasnodębski nawiązując do wypowiedzi Janka opowiedział o swoim udziale w zdobywaniu Berlina. Opowiedział mianowicie o zdobywaniu Berlina, o polskim sztandarze harcerskim zatkniętym na jednym z budynków stolicy Niemiec, zerwanym pośpiesznie przez Rosjan i zastąpionym barwami Sowietów.

Janek miał troszeczkę niewyparzoną gębę. Pomimo swoich talentów czyniono mu problemy z ukończeniem doktoratu, a także utrudniano mu podjęcie badań, które miały się składać na pracę habilitacyjną. Pomimo problemów ukończył z bardzo dobrymi wynikami studia na wydziale chemicznym w 1962 r. i rozpoczął pracę naukowo-dydaktyczną w Zakładzie Chemii Organicznej na tymże wydziale Politechniki Szczecińskiej. Osiem lat później obronił pracę doktorską. Specjalizował się w chemii organicznej, analizie instrumentalnej oraz ochronie środowiska, ale zajmował się także administracją i gospodarką przestrzenną stref intensywnego zagospodarowania. Przez całe życie zawodowe był związany przede wszystkim z Politechniką Szczecińską, był autorem wielu opracowań naukowych, publikacji i patentów. Gdy przyszła „Solidarność", Janek, bardzo lubiany przez kolegów z pracy i studentów, zaangażował się całym sercem w budowę jej struktur na Politechnice. Był członkiem Komitetu Założycielskiego Związku na uczelni, we wrześniu 1980 r. wszedł do prezydium Komisji Zakładowej, a po wyborze Mieczysław Ustasiaka do Zarządu Regionalnego w czerwcu 1981 r. zastąpił go na funkcji przewodniczącego. Ponadto reprezentował szczecińskie uczelnie w ramach Ogólnopolskiego Międzyuczelnianego Komitetu „Solidarności" Pracowników Wyższych Uczelni, a w czerwcu 1981 był delegatem na I Walnym Zebraniu Delegatów „Solidarności" Pomorza Zachodniego. Po wprowadzeniu stanu wojennego Janek od samego początku zaangażował się w budowę konspiracji solidarnościowej, początkowo w ramach Politechniki, stopniowo rozszerzał swoje działania na kolejne uczelnie Szczecina oraz na podmioty związane z innymi zakładami pracy w mieście. W bardzo umiejętny sposób pozyskiwał fundusze na pomoc dla internowanych, uwięzionych i ich rodzin zarówno w Szczecinie jak i w Warszawie. Fundusze gromadzone przez Janka i jego współpracowników, za pośrednictwem Biskupiego Komitetu Pomocy, trafiały przede wszystkim do internowanych, uwięzionych bądź ich rodzin.

Zdjęcie ze zbiorów Pawła Bartnika

W kwietniu 1982 r. wspólnie z Januszem Szabanem, Władysławem Lisewskim, Jerzym Słoneckim, Longinem Komołowskim, Jackiem Saukiem i Janem Tarnowskim uczestniczył w powołaniu Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego organu doradczego dla tajnych struktur „Solidarności", zajmującego się m.in. finansami podziemia (składki, darowizny), wspieraniem podziemnych wydawnictw (stypendia), opieką prawną (opłacanie kosztów procesowych) i medyczną nad represjonowanymi, zbieraniem informacji, planowaniem i koordynacją działań. W 1982 r. władze uczelni zawiesiły Go w prawach nauczyciela akademickiego. Przez cały okres lat osiemdziesiątych angażował się w prace Biskupiego Komitetu Pomocy, był uczestnikiem Duszpasterstwa Akademickiego organizowanego przez oo. Jezuitów. Po strajkach sierpniowych z 1988 r. uczestniczył w reaktywację „Solidarności" na Politechnice. Po zakończeniu obraz Okrągłego Stołu włączył się w prace Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego „Solidarność" Pomorza Zachodniego. W 1990 roku reprezentując „Solidarność" uzyskał mandat radnego Szczecina, a w czasie kadencji pełni funkcję Przewodniczącego Rady Miejskiej. Jak wspominają ówcześni radni, przez cztery lata rządził żelazną ręką lokalnym parlamentem, ale sprawiedliwie. Cieszył się ogromnym autorytetem, więc zdarzało się, że na „dywaniku" u przewodniczącego Otto stawiali się nawet ówcześni wiceprezydenci. W okresie rodzenia się partii politycznych Janek zdecydował się na wsparcie Porozumienia Centrum, był członkiem zarządu wojewódzkiego oraz rady politycznej tego ugrupowania. Pracy poświęcał się do 1999 r., wykładając na Wyższej Szkole Administracji Publicznej i w Zachodniopomorskiej Szkole Biznesu. Zmarł 13 czerwca 2011 r.

Artur Kubaj, Jan Tarnowski

Rozmowa ze Zbigniewem Jasiną

Pomagała nam młodzieńcza hardość

Jakie były Pana początki w Solidarności?

Z „Solidarnością" zetknąłem się jeszcze w Słupsku, gdzie w roku 1980 pracowałem w Zakładzie Mleczarskim. Tam też współtworzyłem organizację zakładową. Natomiast w sierpniu, podobnie jak na przykład piekarnie, nie strajkowaliśmy, bo mleko musiało być ludziom dostarczane. Od tej pory jednak działałem w Związku.

Jak Pan trafił do Szczecina?

Po wypadkach w Bydgoszczy w marcu 1981 roku widziałem już, że dojdzie do przesilenia, a jednocześnie nie byłem optymistą. Podejrzewałem, że wcześniej czy później coś w tej sytuacji, w której znalazła się władza, pęknie. Byłem wtedy młodym człowiekiem, miałem 24 lata i przewidując takie wydarzenia, chciałem być w miejscu, w którym toczy się historia. W tamtym czasie mogły to był tylko dwa takie miejsca: stocznia im. Lenina w Gdańsku albo Stocznia Szczecińska im. Warskiego. Przez przypadek dowiedziałem się, że w stoczni w Szczecinie przyjmują na kurs spawacza. Nie namyślałem się długo. Przyjechałem do miasta zupełnie mi wtedy obcego. Grudzień i stan wojenny zastał mnie już tutaj.

Jak doszło do powstania „Kotwicy"?

Można powiedzieć, że w tamtym momencie, w grudniu 1981 r. „Solidarność" została przez Jaruzelskiego zdruzgotana. Zostaliśmy pozbawieni wszystkiego: przywództwa, całej bazy poligraficznej, środków łączności. W takim rozproszeniu i poczuciu beznadziejności, opór solidarnościowy i społeczny rodził się w zupełnie niezależnych od siebie miejscach. Jeden z moich przyjaciół - Mariusz Kierasiński poznał mnie wówczas z kilkoma osobami, m.in.: z Darkiem Bednarzem i Adamem Perkowskim. W ten sposób już zaledwie po kilku spotkaniach zaczęliśmy produkować ulotki, komunikaty. Jednak z czasem nasze ambicje rosły. Chcieliśmy publikować coś poważniejszego, niż tylko ulotki i odezwy. Wymyśliliśmy dwutygodnik polityczno–społeczny. „Kotwica" wystartowała mniej więcej w marcu 1982 r. Drukowaliśmy tam naprawdę poważne rzeczy. Pamiętam na przykład *Zniewolony umysł* w odcinkach.

Jak wyglądały prace przy tworzeniu „Kotwicy"?

Drukarnia została zorganizowana w mieszkaniu Adama Perkowskiego na Pomorzanach, przy ul. Ruskiej. W mieszkaniu pisało się teksty na maszynach, a drukowało na poddaszu. Ja byłem od spraw dziennikarsko–redakcyjnych, Adam był bardzo sprawny technicznie, dlatego zajmował się organizacją farb, ramek, matryc. Z kolei Mariusz z Darkiem organizowali kolportaż. Drukowaliśmy wszyscy na zmianę. Warunki były dość prymitywne, a skala produkcji bardzo skromna.

Do kogo i jakimi drogami trafiała "Kotwica"?

Organizowaliśmy kanały wśród młodzieży licealnej i studenckiej, do tego my wnosiliśmy pismo na teren stoczni. Co prawda jest to wbrew zasadom konspiracji, ale przy tak ograniczonych kanałach dystrybucji nie mieliśmy wyjścia. Do stoczni wnosiliśmy prasę pod ciuchami albo w plecakach.

Jak wpadliście?

Być może ktoś nas zauważył w tym mieszkaniu na Pomorzanach, może sąsiadom coś wydało się podejrzane. Do dziś nie wiem, jak SB nas namierzyła. Któregoś dnia wpadło ich tam kilkunastu i nas zgarnęli. Darkowi Bednarzowi udało się uciec przez okno na strychu. Kiedy my siedzieliśmy w więzieniu, on wydał jeszcze dwa numery „Kotwicy". Ja dostałem wyrok 1,5 roku więzienia, Perkowski 2,5 roku, a Kierasiński ponad rok. Odsiedziałem 13 miesięcy.

To był koniec "Kotwicy", ale nie Pana działalności w podziemiu?

Niestety tak. Na szczęście więzienie okazało się znakomitym miejscem do poznawania nowych osób, które żyły tym samym, co my. Zaraz po wyjściu znów zajmowałem się kolportażem najróżniejszych materiałów. Z roku na rok było tego więcej: kasety z Kaczmarskim, Gintrowskim. Drugi obieg wydawniczy był o wiele bogatszy.

Aż do roku 1988 i strajku w Porcie. Jaką rolę pan tam odgrywał?

Kiedy zaczęły się strajki w Porcie, ja i Wiesiek Szajko zorganizowaliśmy tam swego rodzaju obsługę prasową. Zbieraliśmy informacje i w zasadzie codziennie wychodził numer „Kuriera Strajkowego". Po strajkach nie było wiadomo jak się dalej sytuacja potoczy, jak zakończą się rozmowy z władzą, dlatego zmieniliśmy nazwę wydawnictwa na „Kurier Międzystrajkowy". Tam oprócz aktualności pojawiały się także wiersze, trochę publicystyki. Kiedy zaczynał się Okrągły Stół i potem, braliśmy udział w organizowaniu Zarządu Regionu i jego biura prasowego.

Jak dziś wspomina Pan swoją ówczesną działalność?

Był to z pewnością okres bardzo bogaty i formujący. W moim przypadku wyznaczył on kierunek mojej dalszej kariery zawodowej, idącej juz potem drogą dziennikarstwa. Na pewno towarzyszyła nam cała paleta emocji: od strachu, bezsilności, poprzez wściekłość, aż po entuzjazm. Na pewno w wielu rzeczach pomagała nam też wtedy młodzieńcza hardość i brawura. Choć oczywiście dzisiaj, po latach, kiedy wracam do tamtych wydarzeń widzę, że można było pewne rzeczy zrobić lepiej, mądrzej, ale też wiem, że wtedy nie mieliśmy innego wyjścia. Tak naprawdę, do powrotu Andrzeja Milczanowskiego z więzienia podziemie w naszym regionie było bardzo rozbite. Dopiero po 1984 roku zaczęliśmy otrzymywać pomoc z Zachodu, sprzęt poligraficzny, a przede wszystkim nawiązywał się kontakt pomiędzy poszczególnymi strukturami. Myślę, że to był błąd „Solidarności", że przed stanem wojennym nikt nie przewidział takiego obrotu wydarzeń. W 1981 roku straciliśmy całe zaplecze, wszystkie maszyny i potrzeba było kolejnych kilku lat, żeby odbudować podziemie. Piękne było jednak to, że nasze społeczeństwo potrafiło się odrodzić w tak trudnym momencie.

Rozmawiała Paulina Łątka

Rozmowa z Wiesławem Piotrem Zalewskim

Farbę drukarską robiłem nawet z mąki

Gdzie zastał Pana stan wojenny?

W praktyce to zastał mnie w domu. Byłem wtedy uczestnikiem strajku studentów w WSP. Sam byłem jednym z założycieli NZS na Politechnice Szczecińskiej, ale potem bardziej zbliżyłem się właśnie ze środowiskiem Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Mieliśmy na PS małe wydawnictwo, potem postanowiliśmy połączyć siły z WSP i razem stworzyliśmy coś większego. Ja byłem drukarzem. 13 grudnia wróciłem do domu rano. Zaraz przyszedł do mnie Marek Adamkiewicz i mówi, że coś się dzieje, że czołgi na ulicach. Pobiegliśmy najpierw na uczelnię, ale tam nic się nie działo, a potem do stoczni. Andrzej Milczanowski wysłał nas „na miasto" – kazał pojeździć po domach, posprawdzać, co się dzieje, kogo zabrali, komu jeszcze da się pomóc. Część znajomych chciała zostać w stoczni, ale Milczanowski powiedział, że mają ludzi i żebyśmy wrócili do swoich zajęć. W tym czasie zawieszono strajk w WSP, a ja zacząłem „zakopywać" poligrafię. Udało mi się ukryć ze dwie tony papieru, maszyny, farby. Wszystko po domach, po znajomych ludziach.

Jak się zorganizowaliście?

Zaczęliśmy organizować meliny. Przenosiliśmy się z tym całym sprzętem, w międzyczasie drukowaliśmy jakieś drobiazgi. W końcu nawiązałem kontakt z grupą Jana Otto z Politechniki Szczecińskiej i przez następny okres drukowałem głównie dla nich. Do tego jakieś pojedyncze poboczne wydawnictwa. Na początku organizowaliśmy też kursy drukarskie.

Jak się to odbywało?

Spotykaliśmy się w mieście, gdzie otrzymywaliśmy materiały od kogoś z redakcji. Potem je przepisywaliśmy i drukowaliśmy. Mieliśmy ramki, powielacz spirytusowy. Opracowałem nawet unikatową technikę „druku na byle czym". Podstawowym składnikiem była mąka i coś czarnego: pasta do butów, albo zwykła farba malarska. Ze względu na brak materiałów było konieczne wymyślenie jakiejś dobrej technologii.

Tak było aż do momentu, kiedy drukarnia wpadła?

Tak, chociaż do tej pory nie wiem jak do tego doszło. W każdym razie mieliśmy bardzo dużo szczęścia. Byłem akurat umówiony z Markiem Adamkiewiczem na drukowanie, ale ogarnęło mnie jakieś przeczucie, coś mnie tknęło i wysłałem mu wiadomość, żebyśmy odwołali to spotkanie. Później okazało się, że ta wiadomość do niego nie dotarła, ale szczęśliwym trafem jemu też coś wypadło, czy coś przeczuwał tak, że żaden z nas nie poszedł do tego mieszkania. W tym czasie wpadło tam SB. Jako że nas nie zastali, zastawili pułapkę i siedzieli tam, czekając na nas kilka dni. Ale my już dostaliśmy informację, że miejsce jest spalone. Straciliśmy wtedy między innymi powielacz spirytusowy. Wcześniej zawsze był kłopot z tym spirytusem, bo często znikał, bynajmniej nie w celach drukarskich. Dlatego kiedy raz dostałem cały baniak spirytusu do drukowania, uznałem, że musze go jakoś uchronić. Dolałem więc do niego radzieckich perfum, żeby się nie nadawał do picia. I potem, po wpadce, zostaliśmy z tym baniakiem i bez powielacza... Bardzo się staraliśmy odwrócić ten proces, ale żadne chemiczne eksperymenty nie pomogły. Spirytusu od perfum nie udało się oddzielić.

Jak trafił pan do internatu?

Jakiś czas po tej wpadce wróciłem do domu, bo przez ten cały czas od wprowadzenia stanu wojennego właściwie cały czas się ukrywaliśmy. Ale wtedy właśnie dostałem wezwanie na komisję wojskową i chciałem się stawić. Zamknęli mnie od razu, wiedzieli, że to ja. Zostałem internowany w maju.

Czym zajmował się Pan w obozie?

Byłem w Wierzchowie i Strzebielinku. Pamiętam, że wszyscy tam na potęgę się dokształcali, cały czas były organizowane jakieś kursy. Sam nawet prowadziłem zajęcia z druku, ale chyba niezbyt efektywne, bo „na sucho", sama teoria. Najwięcej jednak było wykładów historycznych. Wychodziły tam też różne pisemka, ulotki, koledzy robili znaczki. Dla drukarza tam jednak roboty nie było, bo to wszystko powielane było ręcznie. Byłem zamknięty do jesieni 1982 r.

Po wyjściu wrócił Pan do dawnej działalności?

Po moim wyjściu były naciski żebym wyjechał z kraju. Nawet się do tego przymierzałem, pozałatwiałem pewne formalności, ale ostatecznie zostałem. Zająłem się ogrodnictwem, ze sporymi sukcesami. Bardzo sporadycznie coś drukowałem.

Jak rozpoczęła się Pana współpraca z Wiesławem Parchimowiczem?

Spotkaliśmy się pod koniec stanu wojennego, właściwie to on do mnie trafił. Ja w tym czasie kupiłem „rancho" w Tanowie. On pojawił się i powiedział, że zrobimy coś naprawdę dużego. To była prawdziwa, duża drukarnia. Mieliśmy offset, białko, ramki. On był szefem kilku wydawnictw, dostawał sprzęt z zagranicy. Tam wyszły między innymi ostatnie numery „Obrazu", mnóstwo materiałów dla „Solidarności", ulotki wyborcze. Ja to wszystko składałem i drukowałem. Czasem przez kilka dni nie wychodziłem z piwnicy, bo farby nie można było domyć, to wolałem się nie pokazywać ludziom. Potem dowiedziałem się, że Parchimowicz współpracował z SB. Trudno mi coś na ten temat powiedzieć. Ale jeśli wszyscy tak mówią, są dokumenty, to pewnie jest to prawda. Ale skoro on współpracował, to dla kogo ja pracowałem..? Nie myślę o tym dziś za wiele.

Co w takim razie zostało Panu z tamtego okresu?

Żona! Poznaliśmy się przy drukowaniu. Najszybciej odbierała papier, co było bardzo ważne, bo od tego zależało właściwie tempo całej pracy. Trzeba było być szybkim i sprytnym. To było jeszcze w czasie strajku studentów. Drukowaliśmy coś dla Akademii Rolniczej, na której ona studiowała i przysłali ją do pomocy. Tak się poznaliśmy.

Rozmawiała Paulina Łątka

Rozmowa z Kazimierzem Drzazgą

Zawsze pisaliśmy prawdę

W jakich okolicznościach zastał Pana stan wojenny?

Byłem akurat na nocnej zmianie w Zakładach Chemicznych „Police" i wszyscy przeżyliśmy szok, bo nikt się nie spodziewał takich wydarzeń. Następnego dnia zatrzymaliśmy trzy ciągi produkcyjne. Legalne władze Związku w naszym zakładzie nie zostały zatrzymane, ale też nie podjęły decyzji o rozpoczęciu strajku. Dlatego zaczęliśmy z kolegami samodzielnie dyskutować na ten temat. W końcu jednego z nich wysłaliśmy do stoczni. Wrócił z informacją o pacyfikacji. Wtedy stwierdziliśmy, że skoro złamano rdzeń strajków, jakim była stocznia, nie ma sensu rozpoczynać podobnych działań u nas. Wznowiliśmy produkcję, choć była to bardzo trudna decyzja. Wtedy pojawiło się jednak pytanie – co dalej?

Jak była odpowiedź?

Priorytetem była dla nas pomoc internowanym i ich rodzinom. Zbieraliśmy pieniądze, kartki żywnościowe, odzież. Jako automatyk dyżurny mogłem swobodnie poruszać się po zakładzie i wszystko to organizować. Władysław Diakun kupował potem potrzebne rzeczy i woził do Wierzchowa. Następnie zajęliśmy się pomocą dla osób wyrzuconych z pracy, nie tylko z naszego zakładu i z „Solidarności", ale także w terenie. Nie chodziło tylko o pieniądze. Była to także pomoc prawna, wsparcie dla rodziny. Czasem wystarczyły krótkie odwiedziny, żeby ci ludzie nie myśleli, że zostali sami.

Jak powstało pismo „Nadodrze"?

Od początku chcieliśmy na bieżąco informować załogę o naszych działaniach. Pierwsze ulotki były pisane ręcznie drukowanymi literami i odbijane przez kalki. Wywieszaliśmy je potem w różnych miejscach, na przykład pod tablicą bhp. Po jakimś czasie zdobyliśmy powielacz. Czwarty numer „Nadodrza" ukazał się w październiku 1982 r. i był już przygotowywany na tym powielaczu. W tym momencie można już było mówić o prawdziwym piśmie. Pozostawała kwestia tytułu. Było dla nas jasne, że musi w nim być słowo „Solidarność". Biorąc pod uwagę, że w tym mniej więcej czasie stworzył się samoistnie pewien nieformalny organizm, w którego skład wchodziły zakłady usytuowane wzdłuż Odry: Zakłady Chemiczne „Police", Papiernia, Huta - dodaliśmy słowo Nadodrze. Tak powstała „Solidarność Nadodrza" zwana też popularnie i w skrócie „Nadodrzem". Wydawanie pisma było koniecznością. To był namacalny znak naszej działalności. Ludzie dawali nam pieniądze i kartki, więc naturalne było, że oczekiwali jakiegoś znaku, że te rzeczy trafiają tam, gdzie powinny. Publikowaliśmy więc informacje o przekazywanych kwotach wraz z pseudonimami darczyńców. Taki działacz, który najpierw zbierał pieniądze, a potem przynosił ulotki i gazety automatycznie się uwiarygodniał. Choć muszę stwierdzić, że i bez tego, zaufanie ludzi do nas było ogromne.

Gdzie drukowaliście „Nadodrze"?

Powielacz „chodził" po różnych mieszkaniach. Ale strasznie łoskotał i w końcu miał zostać przeniesiony do jakiegoś domku jednorodzinnego w Szczecinie. Jednak po drodze gdzieś przepadł. Co się wtedy stało, nie wiem tak naprawdę do teraz. Musieliśmy wrócić do ramek. To oczywiście wszystko utrudniało. Drukowaliśmy dużo mniej. Zdarzały się wypadki: farby się rozlały u kogoś w domu, dywan do wyrzucenia, problemy. W końcu za pieniądze, które dostaliśmy z Kanady, kupiliśmy powielacz elektryczny. Choć to także trwało kilka miesięcy, bo maszyna pochodziła z pewnej instytucji, której pracownicy po prostu postanowili zrobić mały przekręt, jednocześnie pomagając nam. Również farby i papier trzymaliśmy w różnych miejscach. Z tym ostatnim był największy kłopot. Polepszyło się dopiero, kiedy koledzy wyrzuceni z Zakładów Chemicznych trafili do pracy do Papierni. Kiedyś dwaj z nich wpadli z ryzą papieru. Czekała ich rozprawa. Jeden z nich poszedł do ówczesnego dyrektora i powiedział wprost jak sprawy stoją. Ten wystawił mu dokument z wsteczna datą – pozwolenie na wyniesienie papieru, do zawijania kanapek. Tak go uratował.

Kto i o czym pisał do „Nadodrza"?

Autorem 85 proc. artykułów byłem ja. Czasami pisywał też Jerzy Boczar i kilka innych osób. Kiedy zebrałem już materiały do kolejnego numeru, przychodził do mnie Władek Diakun i Jerzy Przybył i czytali to wszystko, nanosili swoje uwagi. Z tematami staraliśmy się wychodzić naprzeciw oczekiwaniom czytelników. Znałem ich opinie, bo na przykład po wyłożeniu gazety w szatni na zakładzie, chodziłem potem i słuchałem komentarzy. Przede wszystkim nie chcieli czytać długich i ciężkich artykułów analitycznych, nie chcieli za dużo polityki. Raczej interesowało ich, co się dzieje w zakładzie. Mieliśmy nawet specjalna rubrykę „Who is who w Policach", w której publikowaliśmy informacje o „czerwonych". Zasada była jedna - zawsze pisaliśmy prawdę. Zazwyczaj gazeta składała się z czterech stron. Na pierwszej stronie były tematy bardziej ogólne, dalej na przykład ciekawostki z komisji zakładowych czy informacje o aresztowaniach.

Bezpieka nad wami „czuwała"?

Tak, bez przerwy. Zostałem namierzony przez jednego z kolegów, kiedy niosłem na zakład kilkaset ulotek. Dzwoniłem na wydziały z informacją, że za chwilę u nich będę. Ten, który mnie obserwował nawet zapamiętał numery, pod które dzwoniłem. Jednego kolegę złapali z ulotkami – poszedł siedzieć. Ja byłem trzy razy zatrzymany, śledzili mnie, miałem założony podsłuch. W końcu dowiedziałem się, że były już na mnie specjalne instrukcje, łącznie z likwidacją. Wtedy za wstawiennictwem jednej znajomej arcybiskup Majdański przyjął mnie do Rady Diecezjalnej. To dawało mi parasol ochronny.

Do kiedy wydawaliście „Nadodrze"?

Do roku 1989. Potem, jako pierwszy przewodniczący „Solidarności" w Zakładach Chemicznych „Police" kontynuowałem to, choć oczywiście w nieco innej formie. Nasz tytuł wychodzi do dzisiaj, z czego jestem bardzo dumny.

Rozmawiała Paulina Łątka

Rozmowa z Jakubem Dąbrowskim

Wiedzieliśmy, że robimy coś ważnego

W jaki sposób rozpoczęła się Pana współpraca ze szczecińskim podziemiem?

Tak naprawdę moja działalność opozycyjna sięga roku 1968, kiedy wraz z rodziną mieszkaliśmy we Wrocławiu. Mój ojciec jako dziekan Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej stanął wtedy w obronie studentów i w konsekwencji stracił pracę na uczelni, wręczono mu wilczy bilet. Ja również angażowałem się w te wydarzenia między innymi poprzez drukowanie ulotek. Zostałem relegowany z uczelni – Wydziału Architektury PW, pozbawiono mnie prawa do obrony dyplomu, zostałem aresztowany.

Jeśli chodzi o szczecińskie środowisko i pierwsze wydawnictwa, była to jeszcze przed stanem wojennym „Jedność" . Z tego co pamiętam, wprowadził mnie tam Staszek Wądołowski. W tym czasie pismo właśnie powstawało, tworzyła się redakcja. Jako architekt z wykształcenia zająłem się przygotowaniem oprawy graficznej pisma, zaprojektowałem winietę, potem również przygotowywałem sporadycznie grafiki i ilustracje.

W jakich okolicznościach trafił Pan do „Z podziemia"?

Po wprowadzeniu stanu wojennego szybko został powołany Regionalny Komitet Strajkowy. Ja byłem w grupie, która utrzymywała kontakt z ukrywającym się Grzegorzem Durskim. Pomagaliśmy mu nawiązywać kontakty, zorganizować mieszkanie itp. W ten sposób naturalnie trafiłem w środowisko ludzi z samego szczytu podziemnych struktur . W tym czasie też zaistniała w RKS potrzeba stworzenia pisma, które będzie nośnikiem informacji dla ludzi. Tak powstało „Z podziemia". Tutaj jednak od początku podział ról był jasny.

Czym Pan się zajmował?

Ja byłem odpowiedzialny za kolportaż materiałów ze Szczecina na teren całego kraju i do Szczecina z innych ośrodków. Otrzymałem takie zadanie, gdyż miałem liczne kontakty w całym kraju i mogłem stosunkowo swobodnie po nim podróżować. Byłem w tym czasie w zarządzie Stowarzyszenia Architektów Polskich i często jeździłem do Warszawy. W tamto środowisko opozycyjne wprowadzał mnie przede wszystkim mecenas Wiesław Johann. Ściśle współpracowałem tam z poznanymi osobami jak np. Joanna Jurandot – Nawrocka, córka Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota. Bardzo dużo rozmawialiśmy, wymienialiśmy doświadczenia. Dzięki tym kontaktom mogłem też wprowadzić do stolicy swoich ludzi ze Szczecina. W ten sposób stworzyłem całą siatkę, która przerzucała materiały po kraju, w praktyce znając osobiście jedynie pierwsze ogniwa. Dalej tak było to skonstruowane, że kolejne osoby werbowały następne ogniwa i z nimi miały kontakt.

Jak pan pozyskiwał ludzi do tych zadań?

Wszystkie te sprawy odbywały się zazwyczaj w kręgu znajomych. Ja pozyskiwałem osoby właśnie stąd. Jak to szło dalej – nie wiem. Mieliśmy różne przypadkowe miejsca spotkań, najczęściej jakieś mieszkania, ale nie nasze. Organizowały nam to wszystko koleżanki: Teresa Bajl i Karolina Moskwa. One były łączniczkami pomiędzy tymi punktami. Chodziło o to, żeby bezpośrednio spotykało się i znało jak najmniej osób.

Co było przewożone?

Gazety, książki, kasety, znaczki. Nie tylko z Warszawy, ale także przez stolicę z Krakowa i Wrocławia.

A jak zostały nawiązane kontakty z Gdańskiem?

Otrzymałem takie zadanie, żeby znaleźć jakiś kontakt z kierownictwa „Solidarności". Oczywiście kogoś, kto nie był internowany. Nawiązałem kontakt z ukrywającym się wówczas na terenie Trójmiasta członkiem Prezydium Komisji Krajowej, Eugeniuszem Szumiejką, założycielem Ogólnopolskiego Komitetu Oporu. Kontakt ten umożliwił mi Konrad Maruszczyk, mieszkający w Sopocie, mąż córki mecenasa Siły-Nowickiego, Marii.

Jakie osoby współpracowały przy tworzeniu pisma?

Dominik Górski redagował całość i zbierał ludzi do redakcji. Stanisław Kozłowski oraz Juliusz Prandecki byli też w ścisłej redakcji. Andrzej Wojtczuk zajmował się sprawami technicznymi, przede wszystkim drukiem. Sam kiedyś przewiózł powielacz PKS-em.

Jakie represje spotykały Pana za tamtą działalność?

Nie byłem internowany i prawdę mówiąc nie miałem większych problemów w tym czasie. Dwukrotnie mieliśmy w domu rewizje. W mieszkaniu nad nami zainstalowane były podsłuchy. Byłem proszony na komendę na przesłuchania, ale nic z tego właściwie nie wyszło. Zostałem natomiast zwolniony z pracy w Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Urzędu Wojewódzkiego, za to że nie podpisałem zobowiązania (lojalki), że nie będę działał na szkodę władzy komunistycznej. Za pretekst posłużyła sprawa kościoła, na którego rozbudowę dałem pozwolenie. Poszedłem jednak do sądu pracy, który uznał zwolnienie za bezpodstawne i przywrócił mnie na moje stanowisko. Natychmiast sam się zwolniłem i rozpocząłem własną działalność projektową.

Jak się zakończyła pana współpraca z podziemiem?

Właściwie to nie pamiętam... Chyba jakoś tak naturalnie, kiedy Andrzej Milczanowski wyszedł z więzienia i przejął to wszystko. Wtedy ja odsunąłem się do innych spraw – rodzinnych i zawodowych.

Jakie emocje towarzyszyły tamtej działalności?

Na pewno miałem świadomość tego, że to co robimy jest ważne, że to nie jest zabawa i przede wszystkim, że może to nieść za sobą poważne, negatywne konsekwencje. To było doświadczenie, które wyniosłem jeszcze z roku 68. Ale wiedzieliśmy, że tak trzeba i musimy działać, bo to na pewno przyniesie skutki, choć nie wiedzieliśmy dokładnie jakie i jak szybko. Wiedzieliśmy, że nasza działalność jest potrzebna.

Rozmawiała Paulina Łątka

Rozmowa z Tadeuszem Olczakiem

Potrzebna była odwaga i pozwolenie żony

Jak rozpoczęła się Pana działalność w „Solidarności”?

W czasie strajków sierpniowych moja małżonka przebywała w szpitalu. Ja opiekowałem się w domu dwójką naszych małych dzieci. Do Portu wróciłem już po jego zakończeniu. Moja aktywność zaczęła się od tego, że przewodniczący wyznaczył mnie do opieki nad krzyżem, który stanął w porcie podczas strajków. Po jego zakończeniu były próby jego zniszczenia. Dlatego zajęliśmy się nim, oczyściliśmy, potem powstała koncepcja stworzenia kaplicy portowców w Katedrze. Przewieźliśmy tam krzyż, a ja zająłem się organizacją tego przedsięwzięcia, między innymi zbiórką pieniędzy. Byłem też mężem zaufania w Komisji Wydziałowej na Wydziale Urządzeń Przeładunkowych w ZPS.

Jak była sytuacja w Porcie po wprowadzeniu stanu wojennego?

Niestety moje kłopoty rodzinne nadal trwały i stan wojenny zastał mnie w domu. Do zakładu wróciłem w poniedziałek. Na miejscu już było wojsko, nikogo nie wpuszczano. Ja wszedłem dzięki specjalnej przepustce. W zakładzie tymczasem tworzył się już komitet strajkowy z członków komisji zakładowej. Sytuacja była napięta, każdy robił co chciał, brakowało kogoś kto by nad tym zapanował. Obserwowałem to wszystko co się dzieje i zastanawiałem się, czy to możliwe, aby od jednego podmuchu mogła rozpaść się taka wielka organizacja, jaką byłą „Solidarność”, tylko dlatego, że nagle zabrakło naszych przywódców, którzy zostali internowani. Nie chciałem się na to zgodzić. I zaczęliśmy się organizować.

Jak powstało pismo „CDN”?

Przygotowania do bardziej sformalizowanego działania rozpoczęliśmy wiosną 1982 r. Wtedy też stwierdziliśmy, że potrzebujemy pisma, w którym będą publikowane informacje. Na początku były to jedynie jednokartkowe „Komunikaty”.

Jak to się odbywało?

Pierwsze „Komunikaty” drukowaliśmy na ramce, co było bardzo funkcjonalne: można było to łatwo przenieść, a w razie wpadki szybko się pozbyć. Władek Lisewski przyniósł matrycę. Nie miałem wtedy pojęcia o drukowaniu. Wszystkiego się uczyliśmy na bieżąco, sami. Cały czas był problem z papierem i tuszem. Zdobywaliśmy to z różnych źródeł, zazwyczaj przez kontakty osobiste. Drukowaliśmy gdzie się dało, głównie po domach. Około 100 stron w ciągu godziny. Wydaliśmy 13 numerów. W końcu dostaliśmy powielacz, ale okazał się niesprawny, więc znowu wróciliśmy do ramki. Drugi powielacz, już dobry, dostaliśmy dopiero w roku 1988.

Kiedy przekształciło się to w „CDN”?

Pierwszy numer „CDN” wyszedł 5 czerwca 1983 r. Spotkałem Jadwigę Marszczek z Instytutu Meteorologii, która zajęła się redagowaniem pisma. Zawiązaliśmy zespół redakcyjny. Byli w nim: Andrzej Ziemiński, Zygmunt Dziechciowski, Barbara Wachowiak, Adam Knypiński. Było to dosyć luźne towarzystwo, bo ostatecznie wszystko przechodziło przez mnie: od załatwiania matrycy, przez zbieranie informacji, po drukowanie.

O czym pisaliście?

Poruszaliśmy tematy społeczno-polityczne, ale też opisywaliśmy różne wydarzenia z życia Portu. Ja pisałem pod pseudonimem Doker.

Jak był zorganizowany kolportaż?

Tworzyliśmy struktury związku w całym Porcie. Na każdym nabrzeżu wyznaczony był mąż zaufania, który był jednocześnie naszym łącznikiem. W ten sposób cały Port był powiązany silnymi strukturami, w tym także finansowymi. Oni zbierali pieniądze, rozprowadzali ulotki i prasę i kontaktowali się bezpośrednio ze mną. Od naszych członków pobieraliśmy regularne składki. 30 proc. było przeznaczone na naszą działalność wewnętrzną. Za resztę sprowadzaliśmy różnego rodzaju wydawnictwa i organizowaliśmy pomoc dla internowanych i ich rodzin. Pracy było dużo, bo musieliśmy zajmować się organizacją, pisaniem, drukowaniem, kolportażem, finansami i jeszcze myśleć o tym, żeby nie wpaść. Ja byłem mechanikiem od urządzeń dźwigowych i brygadzistą. Miałem bardzo dobre rozeznanie w terenie i mogłem się swobodnie poruszać po całym Porcie. To bardzo wiele ułatwiało.

Kto jeszcze brał w tym udział?

Ci, którzy byli odważniejsi podejmowali się różnych zadań. Do każdego trzeba było pójść samemu, pogadać. Potem jeszcze żona musiała się zgodzić. Różne były sytuacje życiowe. Czasem trudno było wszystkie punkty przerzutowe obstawić. Odpowiednich ludzi nie łatwo było znaleźć. Niejedne buty musiałem schodzić. Na szczęście moja małżonka to wszystko przetrzymała.

Jakie konsekwencje tej działalności Pan poniósł?

W 1987 zostałem zwolniony z Portu. Pracowałem w stacji badań wytrzymałościowych i tam miałem swoją główną skrytkę, tam był punkt kolportażowy. Już od 1985 r. było bardzo niebezpiecznie, byłem cały czas obserwowany. Kiedy bezpieka do mnie przyszła, miałem na stole całą rozpiskę kolportażu. Ale tego nie znaleźli, tylko pojedyncze ulotki. Zawołali kierownika i ten mnie z miejsca zwolnił. Dalej zabrali mnie na Małopolską, gdzie do wszystkiego się przyznałem. Dostałem wilczy bilet na trzy miesiące i 54 tys. kolegium. Po tym okresie dostałem pracę w „Gryfie”, czyli tzw. czekoladzie.

Kontynuował Pan swoją działalność?

W ciągu trzech miesięcy zorganizowałem tam struktury związku. I przez ten czas kontynuowałem działalność w Porcie, aż do samego strajku w 1988 r. Brałem też udział w jego przygotowywaniu. W czasie strajku byłem kolporterem, koordynatorem spraw zewnętrznych, dostarczałem informacje do „Termita”. Do pracy w Porcie wróciłem w roku 1989 i przez dwa lata byłem przewodniczącym Komisji Zakładowej.

Rozmawiała Paulina Łątka

Rozmowa z Danutą i Juliuszem Prandeckimi

Działaliśmy „na cztery ręce”

Jak wyglądała Państwa działalność przed stanem wojennym i po jego wprowadzeniu?

Danuta Prandecka: Oboje z mężem należeliśmy do „Solidarności”. Ja w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a mąż w biurze projektowym „Promor” przy Stoczni Szczecińskiej, gdzie był przewodniczącym organizacji. Działał bardzo odważnie, bronił ludzi, narażał się dyrekcji. Był delegatem na pierwszy Zjazd „Solidarności” w Gdańsku. Kiedy zaczął się stan wojenny był w stoczni podczas strajku i pacyfikacji. Ja w tym czasie oczywiście umierałam ze strachu.

Juliusz Prandecki: Byłem raczej doradcą niż działaczem związkowym. Dużo jeździłem z Marianem Jurczykiem. Pisałem mu różne rzeczy. W stanie wojennym wszedłem mocniej w prasę podziemną. Na początku związałem się z grupą „Od dołu”. Zrobiłem dla nich winietę, tak samo jak dla „Nadodrza”. Pamiętam jak w początkach stanu wojennego drukowaliśmy z Jerzym Kernerem bibułę w mieszkaniu przy Noakowskiego. Patrzymy przez okno, a tam milicja w kaskach dookoła. Już chcieliśmy uciekać, myśląc że to obława, kiedy okazało się, że na stadionie jest po prostu jakaś impreza i to w związku z nią pojawiła się milicja. W tym czasie współpracowałem też z Longinem Komołowskim. Wspólnie organizowaliśmy szkolenia z sitodruku.

Działaliście Państwo razem?

Danuta Prandecka: Działaliśmy razem, można powiedzieć – „na cztery ręce”. Mi wydawało się w tamtym czasie, że jestem niewidoczna, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Natomiast mąż był dobrze znany władzy i obserwowany. Dlatego wolałam wziąć na siebie te rzeczy „bardziej na zewnątrz”. Mąż zajmował się drukowaniem, wszystkimi sprawami technicznymi, pozyskiwał materiały, do tego pisał, doradzał Jurczykowi, organizował liczne spotkania. Ja zajęłam się kolportażem. Dodatkowo, mąż jest bardzo roztargniony. Zwyczajnie bałam się, że zaraz coś zgubi, czegoś nie dopatrzy i będzie wpadka. Dlatego sama się tym zajmowałam.

Co i gdzie Państwo drukowaliście?

Danuta Prandecka: Przede wszystkim „Od dołu” i „Z podziemia”, czasem także „Obraz”. W różnych domach się to odbywało. Tak samo przechowywanie sprzętu i materiałów. Nie chcieliśmy spalić żadnego miejsca. Po robocie wszystko od razu było sprzątane i wynoszone.

Jak był zorganizowany kolportaż?

Danuta Prandecka: Jako pracownik naukowy jeździłam raz w miesiącu na seminaria naukowe do Warszawy. Dzięki temu mogłam tam legalnie i regularnie bywać. Przewoziłam prasę, książki, znaczki, kasety. Zazwyczaj dojeżdżałam tam nocnym pociągiem, rano załatwiałam wszystkie sprawy „podziemne”, a potem grzecznie szłam na seminarium. Tutaj na miejscu najczęściej ktoś przychodził do nas do domu po prasę, albo ja zanosiłam w umówione miejsce. Kobiety chowały gazety do torebek, pod płaszcze, przykrywaliśmy to jakimiś sprawunkami. Najczęściej byli to znajomi, koledzy z zakładów pracy. Całe mnóstwo ich do nas przychodziło. Oczywiście nie wszyscy na raz.

Ale jednak namierzyli Panią?

Danuta Prandecka: W którymś momencie zorientowałam się, że są osoby, które mnie obserwują, a nawet jeżdżą za mną do Warszawy czy przychodzą na moje wykłady. Zawsze jednak udawało mi się jakoś ich ośmieszyć i przechytrzyć. Bardzo mnie wtedy śmieszyły te ich nieudolne podchody. Mieliśmy na przykład telefon na podsłuchu, ale nikt się nie zorientował, że mamy też w domu drugą linię, na mojego tatę. I przez nią załatwialiśmy wszystkie podziemne sprawy. Pilnowali nas cały czas. Jeszcze w 1986 roku byliśmy na przesłuchaniu. Ale nigdy na niczym nas nie złapali.

Ale zdarzały się też groźniejsze sytuacje?

Danuta Prandecka: Raz, na początku stanu wojennego funkcjonariusze SB przyszli na rewizję do domu. Mąż był akurat w szpitalu. Szukali go, prawdopodobnie chcieli aresztować. Oczywiście zaczęli również przeszukiwać mieszkanie. Na początek zapytali czy mam w domu powielacz. Odpowiedziałam, że ja w życiu powielacza na oczy nie widziałam. Tymczasem w pokoju stała maszyna do pisania, na którą tylko rano mój tata rzucił swoją pidżamę. Ale oni tego nie zauważyli. Tak samo jak świeżo wydrukowanych gazet, które trzymałam w piwnicy – włożone od tyłu pomiędzy kartki starych czasopism leżących na stosie przy piecu. I tych w pokoju u córki. I tych w nodze od przedwojennego stołu. Chyba myślenie nie było ich najmocniejszą stroną. Ale herbatą ich poczęstowałam. Niestety, tego samego dnia złapali naszego kolegę Jerzego Kernera. A informacja o nalocie natychmiast dotarła też do męża, który w szpitalu był szykowany do operacji kręgosłupa. Dowiedział się i uciekł ze szpitala.

Juliusz Prandecki: Być może wtedy uratowali mi ci esbecy życie, bo profesor miał tylko 15 proc. udanych tych operacji.

Jak dziś wspominacie Państwo tamten okres w życiu?

Danuta Prandecka: Mi przez dłuższy czas wydawało się, że to, co robiliśmy było zupełnie zwyczajne i normalne. Dlatego tym bardziej wzruszające było dla nas, kiedy w 2006 r. otrzymaliśmy odznaczenia państwowe od prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie wiem, kto nas zgłosił, kto o nas pamiętał, ale było to bardzo piękne wydarzenie.

Juliusz Prandecki: Ja zawsze byłem w konspiracji przeciwko komunistom. Uważam, że to co robiliśmy, to był nasz święty obowiązek.

Rozmawiała Paulina Łątka

Książki spoza zasięgu cenzury

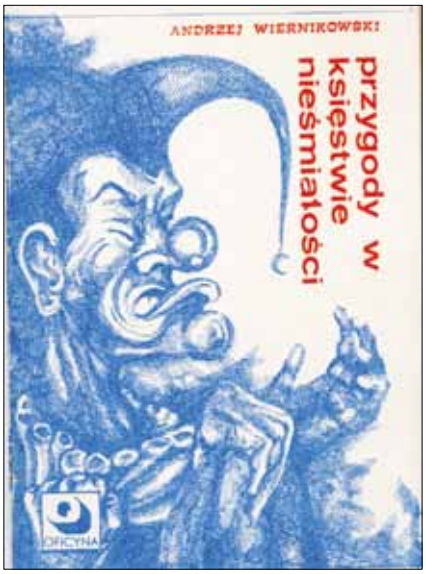

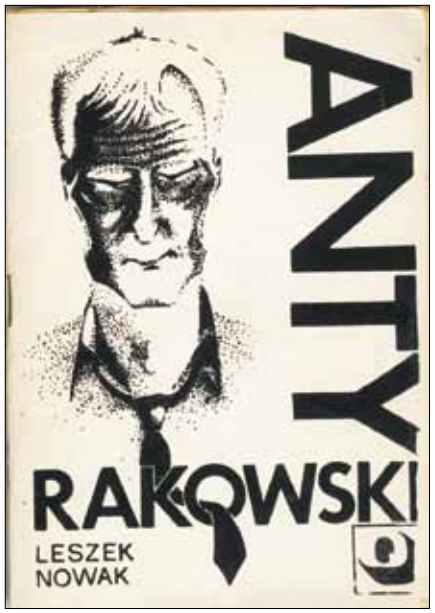

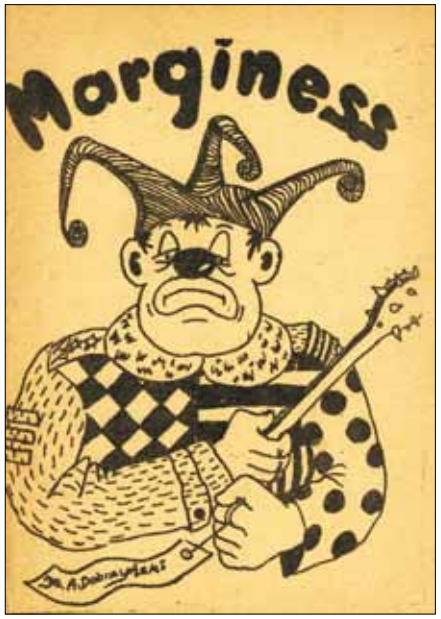

Plakat z 1982 roku wykonany przez Ryszarda Dąbrowskiego.

Wydano staraniem: Instytutu Pamięci Narodowej, Stowarzyszenia Wolnego Słowa, Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Pomorze Zachodnie. Szczecin, maj 2012.